

TYGODNIK SPOŁECZNO-OŚWIATOWY

INDEKS-359238 PL ISSN-0017-1263



GŁOS NAUCZYCIELSKI

ROK LXXV

NR 52 ● 27 XII 1992 r.

CENA 4000 ZŁ

JUTRO EDUKACJI TWORZY SIĘ DZIŚ JAKIE BĘDZIE, JAKIE POWINNO BYĆ?

Do redakcyjnej dyskusji zaprosiliśmy dr Annę RADZIWIŁŁ, prof. Andrzeja GRZEGORCZYKA, prof. Juliana RADZIEWICZA i dra Jana ZACIURĘ. Redakcję reprezentowali: Lidia JASTRZĘBSKA, Henryka WITALEWSKA i Wojciech SIERAKOWSKI

WYZWANIA A NIE NADZIEJE

Redakcja: — U schyłku roku, chcemy namówić państwa na rozmowę o tym, co w obecnej szkole, edukacji niesie nadzieje na przyszłość, a co — nowe dramaty, może nawet kryzys? Jakie — poprzez pryzmat tego co dziś — kształtuje jutro oświaty?

Julian Radzewicz: — Oponuję przeciw używaniu słowa „kryzys”. To wyraz-klucz, który ma usprawiedliwiać błędy, zwalniać od szukania przyczyn trudności, które życie nieustannie stwarza. Dziś mówi się o „kryzysie” wartości, edukacji, zawodu nauczycielskiego itd., a przecież ten zawód nauczycielski zawsze był w nie najlepszej kondycji. Mówienie, że jest w kryzysie dziś, to pomyłka, bo tak było wczoraj i zapewne będzie jutro.

Podobnie nie zgodzę się z tezą, że mamy kryzys funkcjonowania szkoły. Jeżeli jednak widzę jakieś kłopoty szkoły — to raczej powiedziałbym, że wynikają one z bałaganu, który zazwyczaj towarzyszy przemianom. Ludzie nie znają ram, w jakich mogą obracać się bezpiecznie, dostrzegają zaś, że te ramy są poprzecinane, że przez luki w nich coś do szkoły będzie docierać, a oni coś muszą emitować — tylko nie wiedzą co jest dobre, a co złe i jakie będą tego skutki. Z kolei np. dyrektorzy z konkursu pozazależnieli się od środowisk, które decydowały o wyniku konkursu. Robi się więc bałagan nie tylko formalno-organizacyjny, ale i mentalny — nauczyciele i dyrektorzy mają poczucie niestabilności. Ale nie jest to sprawa kryzysu, a rzecz naturalna w momencie, w jakim szkoła jest obecnie — tzn., kiedy coś się wyraźnie zmieniło, a nie wiadomo co będzie w przyszłości.

Andrzej Grzegorzczak: — Pan uważa, że dawniej była w oświacie struktura władzy autorytarnej, a wobec tego czytelnej, a teraz jest bardziej demokratyczna, a przez to bardziej krucha, bardziej okaleczona i trudniej się w niej połapać i trudniej także mieć poczucie stabilności własnej pozycji...?

Julian Radzewicz: — Tak, ale chodzi mi o coś jeszcze innego. Każdy system — i autorytarny, i demokratyczny — ma swoje zalety i patologie. W systemie demokratyzującym się zalety są dawne i widoczne, ale patologie — nowe. — Do tego nie byliśmy przyzwyczajeni, zaskoczyło nas, że i demokracja może mieć swoje minusy.

Anna Radziwiłł: — Na pewno istnieje coś takiego, jak informacja o tym co nowe w naszej rzeczywistości. I w tej informacji, nie w ocenie będą się mieścić takie prawdziwe stwierdzenia jak: że prawo szkolne jest niejasne, że nie wiadomo co nas czeka, że dyrektorzy nie są zorientowani za co będą chwaleni, a za co ganieni, że nie wiemy jakie są granice wolności itp. Odrębną kwestią jest sprawa oceniania — co w tym nowym jest pozytywne, co negatywne? Wydaje mi się, że to zależy od naszych postaw — to my nadajemy tym zjawiskom albo negatywne, albo pozytywne konotacje, od nas zależą ich skutki. Niepewność, bałagan, zmienność, jako pewien stan wyjściowy, są otwarciem albo na twórczość, wolność, ciekawość, na poczucie, że jesteśmy gospodarzami tego co robimy, albo otwarciem na lęk, frustracje,



KTO WYEDUKUJE RZĄD?

JERZY KRAŚNIEWSKI



W listopadzie wysoki urzędnik państwowy w randze wiceministra, Jan K. Frąckowiak, z Komitetu Badań Naukowych, informował czytelników renomowanej stołecznej gazety o projekcie nowego programu rozwoju polskiej nauki. Powiedział m.in., że nie jest ona kwiatkiem do kożucha, lecz niezmiernie ważnym elementem, który zdecyduje o naszej przyszłości. Na pytanie dziennikarki, czy rząd przeznaczy na badania więcej pieniędzy, padła zaskakująca odpowiedź: — Nie wiem.

Pół roku wcześniej znany naukowiec, prof. Henryk Ratajczak, przewodniczący Komisji Badań Podstawowych KBN, wyraził pogląd, że „wielkość wydatków na naukę uznaje się dzisiaj jako jeden z najistotniejszych mierników poziomu cywilizacyjnego i technicznego. Coraz szerzej uznawane są one za podstawowy wskaźnik potencjału gospodarczego i poziomu nowoczesności poszczególnych krajów”. Takich przykłądów mogliśmy zamieścić znacznie więcej.

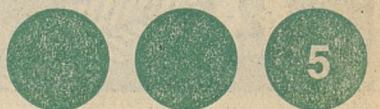
Świat zachodni zaczął przerabiać tę lekcję w połowie lat 40., kiedy to Amerykanin, Vannevar Bush, w syn-

nym raporcie dla rządu USA (1945 r.) zwrócił uwagę, że skoro nie można przewidzieć kiedy i komu wyniki badań naukowych przyniosą korzyści, rząd amerykański powinien inwestować w rozwój wiedzy podstawowej. W takich rozmiarach, aby społeczeństwo osiągnęło maksymalne korzyści. Myśli z tego raportu stały się podstawą amerykańskiej polityki naukowej przez następne dziesięciolecia. Jednocześnie państwo (a także prywatni sponsorzy) łożyło na rozwój szkolnictwa wyższego, ponieważ już wówczas wiadano, że bez uczelni nie można wykształcić młodej kadry naukowej, a więc nie można też zapewnić rozwoju różnych dziedzin wiedzy.

W Europie Zachodniej, zniszczonej w trakcie II wojny światowej, a do tego podzielonej, trzeba było około 15 lat, aby zainteresowani w pełni zrozumieli, o co toczy się wyścig. Jeszcze na początku lat 60. większość rządów sytuowała naukę tradycyjnie wśród problemów oświatowych i kulturalnych. Zwrot nastąpił dopiero w 1963 r. po opracowaniu raportu dla Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD), który podkreślał wagę istnienia w poszczególnych państ-

wach ścisłych związków między nauką i techniką oraz wagę rozwoju badań w połączeniu z polityką ekonomiczną, gospodarczą itp. Przekonanie, że finansowanie badań jest niezbędne, bardzo szybko zdobyło sobie prawo obywatelstwa wśród europejskich elit politycznych. Forsując badania naukowe nie zaniedbano rozwoju oświaty, a także wyższego szkolnictwa, jako spójnych elementów systemu społeczno-ekonomicznego. To właśnie lata 60. przyniosły gwałtowny wybuch upowszechnienia kształcenia na poziomie średnim w krajach zachodnich, a w ślad za tym także wyższego.

Edukacyjna dekada lat 60. ujawniła jednak, że nauka nie jest automatem, który napędza rozbudowę nowoczesnego przemysłu bez ubocznych skutków. Może być także szkodnikiem degenerującym środowisko. To wówczas pojawił się rosnący wciąż w siłę ruch Zielonych. W tamtych właśnie latach dyskutowano zajadle o jakości życia.



JAK MINAŁ ROK?

MALGORZATA ZIELIŃSKA-IGNACIUK, nauczycielka języka francuskiego w Szkole Podstawowej nr 12 w Warszawie:

Moje nauczycielskie odczucia nie obejmują nawet całego roku, bo w szkole uczyć od niedawna. Zauważam jednak pewną różnicę w traktowaniu przez uczniów języka francuskiego. Otóż ci, którzy dopiero zaczynają się go uczyć, robią to chętnie, widząc, że dość dużo czasu na to poświęcają. Natomiast ci, którzy uczą się już 2-3 rok, woleliby angielski. Jednak o anglistów bardzo trudno, bo poza szkołą mogą zarobić znacznie więcej i w dodatku bez stresów związanych z funkcją wychowawczą szkoły. Wydaje mi się, że ciągle jeszcze w naszym społeczeństwie nie jest w pełni uświadomiana potrzeba uczenia się języków obcych. Jest swoisty „pęd” w kierunku angielskiego, ale innych już nie. Może wpływają na to koleżki pod ambasadą USA, marzenie o wyjeździe. Tymczasem np. do Francji można wyjechać bez wiz, a podatnik francuski więcej łoży na pomoc dla Polski niż amerykański. Myślę, że rolę środków przekazu jest uświadamianie nam wszystkim takich faktów.

W mojej szkole widać ogólną oświatową biedę, chociaż nie jest całkiem źle, dzięki jakimś formom dorabiania i przede wszystkim pomocy rodziców. Tutaj nie ma jednak warunków do prowadzenia działalności gospodarczej na większą skalę, np. organizowania stałych gier.

A swoją drogą to skandal, żeby nauczyciel zarabiał mniej niż sekretarka, ekspedientka czy policjant. Czyż koniecznie trzeba powtarzać o czymś to świadczy?

Trudno powiedzieć, jakie są nastroje wśród grona. Jest ono bardzo sympatyczne, żyte ze sobą. Wszyscy są zajęci pracą i chyba nie bardzo zastanawiają się nad tym, co będzie dalej. Pewnie też dlatego tak jest, że nie wiemy, co nas czeka, czy przyszły rok zapowiada się dużo gorzej, czy tylko trochę. Po prostu czekamy na decyzje, na które nie mamy wpływu. 14 grudnia „Solidarność” przeprowadziła 2-godzinny strajk ostrzegawczy w całym kraju. Nieco później ZNP zorganizował pikietę przed Sejmem. Te protesty pewnie jednak nic nie

dadzą. Nikt się bowiem nie liczy z opinią społeczną.

GRAŻYNA NIEDŹWIEDŹ, dyrektorka Przedszkola nr 381 w Warszawie:

Nasze przedszkole zlokalizowane jest na nowym osiedlu i pewnie to jest jedną z przyczyn, że na brak chętnych nie narzekamy. Przyjęliśmy maksymalną liczbę dzieci. Inna sprawa, że mamy obecnie 3 grupy 6-latków, w związku z likwidacją klas zerowych w pobliskiej szkole. W efekcie nie prowadzimy wcale grup najmłodszych, bo nie ma dla nich już miejsca. Muszę przyznać, że wiośnią obawialiśmy się, że nie będzie kompletu i dlatego ucieszyły nas wiadomości o przejęciu „zerówek”. Tymczasem okazało się, że musimy stale odmawiać przyjęcia dziecka. Jeszcze teraz bowiem matki i babcie przychodzą z prośbą o przyjęcie malucha, często 3-latka. Są to także matki nie pracujące, dla których koszt pobytu dziecka w przedszkolu nie ma znaczenia.

Te koszty nie są małe — czesne wyznaczone przez gminę — 200 tys. zł, komitet rodzicielski — 100 tys. zł. Do tego dochodzi koszt żywienia i zajęć dodatkowych (rytmika, korektywa, język angielski, logopeda). Łącznie około 700 tys. zł miesięcznie. Jak dotąd — nie zaobserwowałam, aby ta kwota stanowiła barierę, aby z tego powodu ktoś rezygnował. W ZEAS-ie obiecano nam, że na początku przyszłego roku każde przedszkole otrzyma szczegółowe rozliczenie kosztów, także wpłacanego przez rodziców czesnego, wtedy im je przedstawimy.

Nasze nauczycielskie nastroje w mijającym roku determinuje w dużej mierze sytuacja finansowa. A jakie mogą być, skoro płace wynoszą przeciętnie około 1.500 tys. zł netto? Z drugiej strony wszyscy są zadowoleni, że mają pracę. Mają bowiem świadomość, że po kilkunastu latach trudno o zmianę. Z dwóch głównych powodów. Po pierwsze, bo zmiana charakteru pracy wymagałaby zmiany kwalifikacji, a nie jest to takie proste, jak się wydaje. Po drugie, bo osób po 35. roku życia nikt nie przyjmie, gdyż w ta-

kiego pracownika nie opłaca się już inwestować.

Dlatego już teraz myślimy o tym, że jeśli okaże się, iż nie ma kompletu dzieci, to trzeba będzie rozszerzyć działalność, przyjmować dzieci do grup integracyjnych. Będzie to wymagało pewnego uzupełnienia przez nas kwalifikacji, ale z tym — jak sądzę wszyscy sobie poradzimy. W tym przedszkolu pracują nauczycielki po SN i studiach wyższych, które mogą się pochwalić wieloma sukcesami, które lubią tę pracę i lubią dzieci.

Nadszedł czas, kiedy obowiązują twarde reguły rynku, także „na naszym podwórku”. Musimy się do nich dostosować, bo innego wyjścia nie ma.

ALINA ŻAKOWSKA, dyrektorka Szkoły Podstawowej w Bleniewicach, gmina Blonle.

Ten rok oceniamy jako niezbyt

udany, nastroje są wyraźnie minorowe. Jest tak głównie z powodu bardzo niskich zarobków. Podwyżki były przecież niewielkie, a już na pewno nie pokryły wzrostu kosztów utrzymania.

Cóż słyszałyśmy o zagrożeniach w 1993 r., o tym, że nie wiadomo czy waloryzacje w ogóle będą i jakie, i naturalnie o tym, że mają być zwolnienia wśród nauczycieli i to znaczne. Ta ostatnia sprawa powoduje niepokój, bo w szkole jest pełna obsada kadrowa, nie ma godzin nadliczbowych. Tak więc w nowy rok wkraczamy ogólnie przygnębieni i z poczuciem pewnej beznadziejności.

Bardzo trudna jest sytuacja finansowa szkoły i jako dyrektor stale borykam się z kłopotami. Szkoła nie ma możliwości prowadzenia działalności gospodarczej, sponsorów nie mamy, a rodzice, to głównie rolnicy, którym też jest teraz dość ciężko. Możemy więc liczyć tylko na siebie, czyli na to, co dostajemy z ZEAS-u. Chyba nie muszę tłumaczyć na co to starcza, a raczej na co nie starcza.

W tej sytuacji oświaty popieramy protesty ZNP i wszelkie formy

walki Związku o poprawę warunków pracy i bytu. My sami niewiele możemy zrobić, praktycznie nic nie możemy.

Jedynie, co nas podtrzymuje na duchu, to postawa uczniów. Nie sprawiają kłopotów wychowawczych, są bardzo zdyscyplinowani, nieźle się uczą. To daje satysfakcję.

Kilka osób z grona ma nadzieję na otrzymanie mieszkania w domu nauczyciela. Miał być gotowy już rok temu. Potem — wydawało się — że zostanie oddany we wrześniu. Opóźnia się wszystko głównie z powodu braku pieniędzy. Mieszkania dzielić będzie kuratorium razem z gminą. Życząc swoim koleżankom, żeby w nadchodzącym roku otrzymały wreszcie klucze, bo im się od dawna należą.

**Rozmawiała
MALGORZATA
POMIANOWSKA**

Sprostowanie

Serdecznie przepraszam Jana Wiśniewskiego, przewodniczącego Krajowej Sekcji Oświaty Dorosłych ZG ZNP za błąd w jego nazwisku w wywiadzie pt. „Ważne, lecz piąte” („Głos” nr 50/92).

Witold Salański



Rys. STOK

KRONIKA

● W Ośrodku Wypoczynkowym ZNP w Jachrance odbyły się narady: dyrektorów domów wypoczynkowych i sanatoriów ZNP (20—21 XI) oraz dyrektorów filii Ośrodka Usług Pedagogicznych i Socjalnych (7—8 XII). Ich tematem była ocena działalności w 1992 roku oraz przyjęcie planu na 1993 rok. W naradach uczestniczył wiceprezes ZG ZNP Piotr Simbierowicz. ● 4 grudnia w programie telewizyjnym „Coś za coś”, którego tematem był budżet państwa na 1993 rok, wystąpili: prezes ZG ZNP Jan Zaciura oraz prezes Oddziału ZNP Warszawa Praga-Południe Zofia Idzikowska. Prezentowali oni problemy budżetu edukacji, wskazując na zagrożenia, jakie rządowy projekt niesie dla oświaty i szkolnictwa wyższego. ● 7 grudnia Sekretariat ZG ZNP omawiał przygotowania do posiedzenia Prezydium ZG ZNP 16 grudnia oraz do ogólnopolskiej pikiety przed gmachem Sejmu 17 grudnia, w dniu debaty nad budżetem państwa na 1993 r. ● 7 grudnia odbyło się w ZG ZNP spotkanie przedstawicieli związków zawodowych działających w sferze budżetowej. ZNP reprezentowali prezes Jan Zaciura oraz wice-

prezes Piotr Simbierowicz. Omawiano problemy związane z budżetem na 1993 r. i zagrożenia dla całej sfery budżetowej. Ustalono, że związki przyłączą się do protestu ZNP. Pikietą przed Sejmem 17 grudnia mieć będzie charakter rotacyjny: po pracownikach oświaty i nauki podejną ją pracownicy jednostek podległych MSW (policji, wojska, straży pożarnej, a następnie pracownicy służby zdrowia). ● 8 grudnia odbyło się posiedzenie Zarządu Spółki „Teacher” z udziałem wiceprezesa ZG ZNP Piotra Simbierowicza. Dyskutowano nad sprawami funkcjonowania hotelu „Belfer” w Warszawie i przygotowaniach do jego remontu. ● 10 i 11 grudnia prezes ZG ZNP Jan Zaciura odbył cykl spotkań ze związkowcami w okręgu szczecińskim. Uczestniczył w posiedzeniu Zarządu Okręgu ZNP, na którym omawiano przygotowania do akcji protestacyjnej ZNP. Zarząd Okręgu przekształcił się w Okręgowy Komitet Protestacyjny. Sytuacja oświaty i jej pracowników oraz rysujące się zagrożenia były dominującym wątkiem spotkań z prezesami ognisk ZNP Szczecina oraz prezesami ognisk ZNP i dyrektorami szkół w Stargardzie Szczecińskim. O spotkaniach tych obszernie informowały telewizja państwowa i prywatna („Morze”), a także rozgłośnie radiowe. ● Zarząd Główny ZNP przekazał ministrowi edukacji narodowej kolejne pismo dotyczące programu „Dobra i nowoczesna szkoła — kon-

tynuacja przemian edukacyjnych”, stanowiące odpowiedź na pismo MEN. Związek podtrzymuje w nim swe stanowisko, że propozycje rozwiązań dotyczące przyszłego kształtu edukacji narodowej oraz statusu zawodowego nauczycieli powinny być poddane szerokiej konsultacji w środowisku oświatowym, zanim staną się one przedmiotem dyskusji na posiedzeniu Rady Ministrów. Zarząd Główny przypomina, że Związek od dawna konsekwentnie domaga się ogólnonarodowej dyskusji nad koncepcją systemu

edukacji. Nie może zaakceptować przyjętej przez MEN metody działania, polegającej na narzucaniu społeczeństwu w sposób arbitralny przyszłego modelu edukacji i proponowaniu rozstrzygnięć w statusie zawodowym nauczycieli, nie bacząc na trwające negocjacje nad układem zbiorowym. ZG ZNP ponownie domaga się niezwłocznego spotkania kierownictwa ministerstwa i Związku.

**Opracowała
LUCYNA BANASZKIEWICZ**

NIEUSTANNA PRENUMERATA

Jeśli nie zdążyłeś zaprenumerować „Głosu” na I kwartał 1993 roku w Ruchu — możesz uczynić to u nas. Wpłacając na konto redakcji: PBK SA III O/Warszawa nr 370015-977269-136 za jeden egzemplarz sumę 5 300 zł (w tym opłata pocztowa) otrzymasz kolejne numery „Głosu”. Prenumerata kwartalna 5 300 zł x 13 = 68 900 zł. Na przekazie zaznacz — prenumerata. „Głos” przyjdzie do Ciebie pocztą!

Adres redakcji: ul. Juliana Smulikowskiego 6/8, 00-389 Warszawa. Telefony: 26-34-20, 27-66-30. Centrala: 26-10-11. Telex: 81-68-96. Fax: 26-34-20.

„GŁOS NAUCZYCIELSKI” redaguje zespół: Lidia Jastrzębska (z-ca red. naczelnego), Teresa Konarska, Jerzy Kraśniewski, Barbara Kozarska (kier. działu technicz.), Sławomir Lewandowski (kier. działu prawnego), Małgorzata Pomia-

nowska, Witold Salański, Wojciech Sierakowski (red. naczelnego), Krystyna Strużyna, (kier. działu edukacji i wychowania), Henryka Wiltalewska (kier. działu związkowego i interwencji), Alfred Zieliński (sekr. red.), Barbara Garbolewska (kier. działu administracji), korekta — Małgorzata Gościńska, Zofia Rozum. Nakładem Wydawnictwa „Głos Nauczycielski”.

Dyrektor Wydawnictwa — Wojciech Sierakowski.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów i zmiany tytułów, tekstów nie zamówionych nie zwracamy.

Fotokład i druk: Interpoligrafia S.A., 02-018 Warszawa, ul. Nowogrodzka 84/86

Redakcja nie odpowiada za treść i skutki ogłoszeń i reklam. Zam. 1629

BILANS Z DEDYKACJĄ

1992 rok mamy już za sobą, tylko kilka dni dzieli nas od tradycyjnego dwunastego uderzenia kurantów ostatecznie zamykającego minione dwanaście miesięcy. Każdy w te dni czyni swój osobisty ich bilans, porównując to co dobre, pomyślne, co się zdarzyło z tym co jeszcze nie udało się, „nie wyszło”, czego zabrakło. Oby bilansów na plus było w naszych nauczycielskich domach jak najwięcej. Bo przecież chyba nie same rozterki i dylematy były naszym udziałem w tym mijającym właśnie roku? Mimo że był on tak trudny.

Wkraczaliśmy więc z mieszanymi uczuciami. Budżet się wszak wciąż tworzył, trwały przetargi, kómu, ile, na co? Za to mieliśmy nowego ministra. W odróżnieniu od poprzednika nowy ów szef resortu zapowiedział nieustępliwą batalię o fundusze dla edukacji, odrobienie strat, oświatowe przyspieszenie. No i zadeklarował nowy model współpracy ze związkami zawodowymi — nic o was bez was. Tak ładnie to brzmiało, że bodaj wszyscy uwierzyli i powiało nadzieją. Że być może ten rok nie będzie aż tak zły.

Niestety, rychło okazało się, że był to jeszcze jeden miraż. Bo rzeczywistością stała się raczej ministerialna laska, program redukcji etatów, likwidacja małych, nierentownych (!) szkół, jeszcze większe zaciskanie oświatowego pasa. Strajk nauczycielski ZNP z 28 lutego 1992 r. był więc nie tylko dramatyczną próbą powstrzymania rysującego się regresu, ale i wezwaniem do ogólnonarodowej dyskusji o roli i miejscu edukacji w państwie.

W końcu pierwszego półrocza z kolei doszło do kolejnego protestu związkowego — okupacji sali konferencyjnej w gmachu MEN. Tym razem: wobec zagrożenia wstrzymania waloryzacji plac. Już wręcz na odchodnym minister jeszcze pokusił się o próbę zmuszenia związkowców do przyjęcia jego warunków. Ta „wizyta” trzech organizacji zakończyła się sukcesem, waloryzację co prawda z opóźnieniem (z bałaganem w licznych placówkach samorządowych) ale jednak wyplacono.

Drugą połowę roku rozpoczęliśmy już z nowym ministrem. A wakacje były, o dziwo, jedne z bardziej spokojnych w ostatnich latach (kto nie wierzy, niech porówna te z poprzednimi). Jesienią rozpoczęły się negocjacje układu zbiorowego nauczycieli. W miarę normalnie toczyły się do chwili, gdy poznaliśmy pierwsze przymiarki do budżetu oświaty na rok 1993 i gdy ogłoszono zarys „Dobrej i nowoczesnej szkoły”, jako rządowego (?) programu działań w sferze edukacji. Tak koło się zamknęło, bo oto okazało się, że znów wracamy nie tylko do programów redukcji kadr, ale i całkowitej zmiany statusu prawnego nauczyciela, likwidacji Karty Nauczyciela.

Jakie zatem wnioski płynąć mogą z nawet pobieżnego przeglądu wydarzeń w oświacie w minionych dwunastu miesiącach? Być może nie wszyscy się ze mną zgodzą, lecz twierdzą,

że unaocznily one bodaj wszystkie błędy w sposobie widzenia polityków, elit władzy, zadań, roli i miejsca edukacji w państwie. Wiele wskazuje, iż postrzegana jest ona li tylko jako źródło oszczędności szybkich i prostych, nie zaś jak dziedzina, która jutro, pojutrze może przysporzyć znacznych korzyści. Edukacja widziana jest po prostu jako zbiór obiektów, ludzi — jak bodaj fabryka, którą można dowolnie „restrukturalizować” gospodarczo „przekształcać” i nic się nie stanie. Bo przecież do tej pory nie stało się nic! Szkoły funkcjonują, dzieci gorzej lub lepiej, ale jednak się uczą, ba, powiększa się przecież liczba nauczycieli realizujących programy autorskie. A więc — nic złego się nie dzieje.

W każdym działaniu tkwią przesłanki przyszłego sukcesu, ale i przyszłej porażki. Nawet i w biednej szkole można uczyć dobrze, to prawda, nie każde „cięcie” musi być od razu niszczące. Ale najbardziej zgubne, niosące największą obawę jest na pewno to, co w mijającym roku stało się w sferze świadomości. To owe narzucone podzielenie nauczycieli na: tych przez małe i duże „n”, to ten „produkcyjno-efektywny” stosunek do spraw edukacji, to ten niespotykany dotąd sposób mówienia społeczeństwu o szkole, nauce, kulturze. Że nic się nie stanie jeśli zlikwidujemy ileś przedszkoli, wiejskich szkół, ograniczymy zakres wiedzy przekazywanej naszym dzieciom. (Politycy zapomnieli już jak w roku osiemdziesiątym pierwszym domagali się np. zwiększenia liczby godzin historii ojczyściej, bo skandalem było „kształcenie robotli”. Dziś w imię oszczędności tej samej historii jest znów za mało.) Że to normalne wycofywać się po cichu z zasady współdziałania kadry, rodziców w wyłanianiu szefów placówek, bo przecież władza... (Cóż, podobnie dzieje się z samorządami robotniczymi w zakładach przemysłowych, nasze oświatowe problemy, to tylko drobna cząstka ogólnej nowej polityki). Że to prawidłowo zwiększać nakłady na szkoły publiczne w stopniu znacznie mniejszym niż na te niepubliczne.

W ten oto sposób wokół państwowej edukacji tworzy się póki co atmosfera ciężka, nasycona odczuciami raczej negatywnymi. I to nieprawda, że taki jej obraz nakreśliły społeczeństwu jedynie my: nauczyciele, związkowcy, którzy tak często mówimy o kryzysie szkoły. Jakie owoce dojrzają z tego w przyszłości? Czy i ile lat trzeba będzie odrabiać te straty? Bo to już są straty!

Tak, to są refleksje z dedykacją. U schyłku starego roku kieruję je do wszystkich, którzy o edukacji mówią wiele, lecz potem ponad nią stawiają międzypartyjne rozgrywki. Aby wreszcie oświata, nauka, kultura przestały być wykorzystywane jako przetargowe karty w kreowaniu wizerunku politycznych ugrupowań.

A my wszyscy, którym wiary jeszcze nie zabrakło, życzymy sobie aby w tym roku wreszcie tak się działo.

WOJCIECH SIERAKOWSKI



9 grudnia — podczas wizyty związkowców z Polski w Watykanie — serdeczne życzenia świąteczne i noworoczne Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego przekazał Ryszard Łepik, wiceprezes ZG ZNP.

Wizyta w Rzymie i Watykanie odbyła się z okazji zorganizowanego przez Ministerstwo Pracy i Polityki Socjalnej wyjazdu przedstawicieli polskich central związkowych do państw Europy Zachodniej. Celem było zapoznanie się naszych związkowców z metodami i zasadami prowadzenia negocjacji pomiędzy związkami zawodowymi a pracodawcami. (W.S.)

STARODAWNA ZNAJ WILIJĘ...

MIEJSCE DLA WĘDROWCA

JEDNYM z najpiękniejszych staropolskich zwyczajów jest bez wątpienia zapraszanie do wigilijnego stołu ludzi samotnych oraz stawianie dodatkowego nakrycia dla wędrowca, który może niespodziewanie zapukać do naszych drzwi. To dodatkowe wolne miejsce to znak i symbol otwarcia, serdeczności, przyjaźni dla gościa nieznanego, ale oczekiwanego i bliskiego. Bliskiego — bez względu na to, kłm jest, skąd przybywa i jaką odbył drogę.

Od dawien dawna towarzyszyło naszym prądkom przekonanie, że w ten szczególny, jedyny w roku dzień los człowieka może zyskać w jakimś stopniu nowy — powiększony i wzbogacony — wymiar. Że należy zapomnieć o urazach, niechęciach, znie wagach. Bo o nienawiści już nie wspomnę...

Przy wigilijnym stole następuje — powinno nastąpić — pojednanie. Tego domaga się od nas tradycja. Tradycja, na którą tak chętnie i tak często lubimy się ostatnio powoływać, bo przeszerzanie jej i kultywowanie w codziennej praktyce to już zupełnie inna sprawa. Przecież nie tylko coraz mniej pojednania w naszym życiu, ale jednocześnie coraz więcej nieprzejdania, zacietrzewienia, nietolerancji, narastającej wrogości. Obserwujemy to teraz na każdym kroku — i to nie tylko w życiu politycznym.

Ale oto przed nami znów ten jedyny w roku wieczór, który stwarza niezwykłą szansę. Przyjmną przeto ubiegłonoroczny werset Artura Oppmana: „Starodawną znaj wiliję...” I dodam: uszanuj przodków obyczaj; przyjm serdecznie, ze staropolską gościnnością, przychodzącego z bardzo daleka wędrowca...

HENRYKA WITALEWSKA

MIĘDZY LEKCJAMI LECHOSŁAW GAWRECKI

GWIAZDKOWE ŻYCZENIA

Od początku wszystko wydawało się dziwne i tajemnicze... Późnym wieczorem zadzwonił telefon. Przez trzaski i dzwonki (co potraktowałem ze zrozumieniem, znam przecież uroki naszej telefonii), gdzieś jakby z oddali, rozległ się głos:

— Chodzi o konsultację, sprawa jest skomplikowana, sam nie dam rady... Zapraszam do siebie. Pojazd czeka.

Wyjrzałem przez okno. Rzeczywiście, przed oknem stał dziwny wehikuł — ni to balon, ni helikopter, coś jakby rakieta... Chwilę się zawałem.

— Przepraszam, a jaka stawka za tę, jak pan powiedział, konsultację?

— Niech pan będzie spokojny, rozliczymy się w odpowiednim czasie, na każdego przyjdzie jego pora... Przeglądaliśmy pańskie akta — pan nie jest całkiem w porządku wobec naszego szefa... Daję więc szansę poprawienia swoich stosunków z nim. A to się przyda, na pewno przyda...

W dalszym ciągu niczego nie rozumiałem, ale zgodziłem się. Na wszelki wypadek, wszak jeśli mam tam jakieś długi...

Wsiadłem do dziwnego pojazdu. Błyskawicznie poszybowałem w przestworza. Wkrótce stanąłem przed starszym panem, z długą, siwą brodą, okrytym czerwonym płaszczem, sięgającym do stóp. Nad głową świeciła się aureola...

— Pan pozwoli, Święty Mikołaj jestem. A pan nie musi się przedstawiać. My tu też czytujemy prasę, choć wciąż z tym są trudności. Dawniej

trzeba było uganiać się po kioskach, aby kupić upragniony tytuł, teraz wszystko jest, ale coraz droższe. Musi ten „Głos” tyle kosztować?

— Ano, musi, takie teraz koszty...

— No tak, a ja wciąż muszę się z Szefem wykiłdacać o każdy grosz, nie macie pojęcia, jakie to przykre!

— O tym, niestety, mamy pojęcie, aż za dobre, westchnąłem.

Starszy pan sięgnął do potężnego pudła z listami.

— Przejdźmy do rzeczy, bo czas goni, a roboty huk, jak to u nas w grudniu. Otóż, jak pan zapewne wie, o tej porze roku piszą tu różni ludzie z całego świata, z prośbą o spełnienie ich prośby. Na ogół nie jest to trudne, bo życzenia się powtarzają, a magazyn jest spory. Ale ostatnio, z Polski, nadszedł tak dziwny list, że ja go po prostu nie rozumiem. O, tu, niech pan zobaczy, nadawca: „Polscy nauczyciele”.

— I o cóż oni proszą? Pewnie o pieniądze, bo teraz u nas prawie wszystkim i na wszystko brakuje...

— E, to byłoby pół biedy, jakieś zapomogi w prezencie bez problemu bym wykombinował. Ale oni nie chcą zapomóg! Ich życzenie jest tak dziwnie ujęte: „prosimy o stabilny, sensowny system plac, porównywalny ze średnią krajową”. Pan to rozumie?

— Pewnie że rozumiem, walczą o to nauczyciele od kilku lat. Ale kolejny już rząd nie potrafi sobie z tym poradzić, więc chyba i w niebie nie dadacie rady...

A o co jeszcze proszą?

Starszy pan poprawił okulary.

— O „stabilne, mądrze opracowane programy nauczania, żeby konkretnie było wiadomo czego wymagać od uczniów”. Moi ludzie przetrząsnęli cały magazyn, ale czegoś takiego u nas nie ma, skąd ja im wezmę „stabilne programy”?

— Moim zdaniem, sprawa jest nie do załatwienia. Nawet gdyby stał się cud i Święty znalazłby takie programy, to i tak nikt by nie wiedział jak je realizować...

— Bardzo możliwe, bo dalej oni tu proszą o „sprawnie funkcjonujący system doskonalenia nauczyciela, który by szybko i skutecznie przygotowywał do realizacji każdej kolejnej reformy szkolnej”. Albo następane życzenie: „Kompetentnych kuratorów, pomagających, a nie utrudniających pracę”. A co — nie ma u was takich?

— Różnie bywa...

— To nie dziwicie się potem, że jest tak, jak jest. A i z dyrektorami szkół w Polsce musi być nie najlepiej, skoro dalej proszą o „stabilizację na stanowiskach kierowniczych, aby dyrektor nie bał się podejmować odważnych decyzji”. Czego oni się właściwie boją?

— Że po akcji wotum zaufania i następnej, polegającej na powszechnych, obowiązkowych konkursach, przyjdzie kolejna próba masowej ich wymiany. Bo wciąż zwyciężają nie ci, którzy — zdaniem różnych, ważnych teraz ludzi — powinni...

Święty Mikołaj zafrasował się.

— Najtrudniejsze jest ostatnie życzenie. „Prosimy o jednoznacznie sformułowany system prawny, jasno określający prawa i obowiązki nauczycieli, warunki ich pracy i płacy. Orzaz żeby ten system obowiązywał nie tylko nauczycieli, ale i władze...” A właśnie, właśnie, a propos władze, od nich też coś przyszło.

Starszy pan pogrzebał w przegródce z napisem: „korespondencja urzędowa”. Po chwili wyjął stamtąd pismo z nadrukiem, opatrzone stosownymi pieczęciami i podpisami.

— I o cóż oni proszą?

— Niech pan spojrzy, treść jest krótka i rzeczowa.

„W związku ze zbliżającym się sezonem świąteczno-noworocznym, tutejszy urząd informuje uprzejmie, iż w nadchodzącym roku życzy sobie:

Nauczycieli, którzy:

1. — nie dyskutują, tylko pracują i nie sprawiają nam żadnych kłopotów
- uczą nowoczesnie w każdych warunkach, nawet wtedy, gdy w klasie jest czterdziestu uczniów w trzech, połączone oddziałach
- ze zrozumieniem traktują przejściowe, rzecz jasna, trudności finansowe



BÓG SIĘ RODZI...

Narodziny proroka, syna Bożego, były zawsze czymś wyjątkowym, czymś co fascynowało. Różnie opisywano to zdarzenie w literaturze, świętych księgach, legendach, baśniach. Stworzenie, nadejście „pomazańca Bożego” porządkowało bowiem istniejący chaos. Dla każdego wyznania przyjście „wybrańca Bożego” było jednak czymś innym.

NIE ma pewności co do lat narodzin i śmierci Jezusa nazywanego Chrystusem (jest to grecki odpowiednik hebrajskiego terminu Mesjasz i znaczy „namaszczone”, nie jest więc imieniem, lecz tytułem). Urodził się w Betlejem w Judei za panowania Heroda Wielkiego (który zmarł w 4 r. p.n.e.) w roku, gdy w cesarstwie rzymskim przeprowadzono spis powszechny. Najnowsze badania wskazują na 12 rok p.n.e. jako na datę tego wydarzenia. Data owa odpowiadałaby innemu świadectwu historycznemu: pojawieniu się komety Halleya. Są jednak inne dobrze umotywowane daty.

Maria, matka Jezusa, dziewica i żona Józefa z Nazaretu w Galilei, dowiedziała się od Archaniela Gabriela, że pocznie z Ducha Świętego dziecko i nazwie je Jezus. Aby wziąć udział w spisie ludności, Józef, który pochodził z królewskiego rodu Dawida, musiał udać się do Betlejem, gdzie urodziło im się dziecko — w stajence, gdyż nie było miejsca w gospodzie. Miały temu towarzyszyć cudowne zjawiska, światłość na niebie, wędrówka po sklepieniu armii aniołów oraz gwiazda, która wskazywała miejsce Jego narodzin pasterzom oraz królom ze wschodnich krajów, którzy pokłonili się Jemu, gdy leżał w żłobku. Z Betlejem Józef i jego rodzina uciekli do Egiptu, aby umknąć przed bestialskim planem Heroda wymordowania wszystkich urodzonych w tym czasie dzieci. W Egipcie pozostali do śmierci Heroda, kiedy to bezpiecznie mogli wrócić do Galilei.

Kult Marii Panny charakterystyczny jest dla katolicyzmu, w którym istnieje dogmat o Niepokalanym Poczęciu Marii i o jej Wniebowzięciu (o czym nie wspomina się w Piśmie Świętym). Oba dogmaty przyjęte zostały stosunkowo niedawno: pierwszy w 1854 r., drugi w 1950 r. Protestanci odrzucają kult Marii, kościoł prawosławny zaś nie uznaje obu wymienionych dogmatów.

Mojżesz stał się główną postacią rabinicznego judaizmu, od niego bowiem bierze swój początek nie tylko Prawo pisane (Tora), ale i prawo ustne. W tekstach rabinicznych występują często jako „Mojżesz, nasz rabbi”. Majmonides w siódmej zasadzie judaizmu uznał Mojżesza za największego z proroków.

Mojżesz żył ok. 1250 roku przed Chrystusem. Imię jego, według Księgi Wyjścia, oznacza: „Wydobyty z wody”. Mojżesz był synem Amrama i Jokebed z plemienia Lewi i urodził się

w Egipcie. Ponieważ faraon kazał wszystkim nowo narodzonych chłopców żydowskich topić, rodzice włożyli go do skrzynki, którą umieścili w trzcinie na brzegu rzeki. Córka faraona znalazła go, kazała wychować w domu rodziców, a później uznała za syna. Gdy dorósł, zabił Egipcjanina, który źle obchodził się z Żydem odbywającym pańszczyznę. Uciekł do Madianitów i poślubił córkę jednego z kapłanów, Seforę. Gdy pilnował owiec na górze Horeb, ukazał mu się anioł w krzaku ognistym, a głos Boży polecił mu uwolnić lud Izraela z Egiptu. Po przezwyciężeniu wielu trudności i objawieniu się wielu cudownych znaków poprowadził ujarzmiony lud ku górze Synaj, wstąpił na jej szczyt i otrzymał tam od Boga wśród grzmotów i błyskawic tablice z własnoręcznie przez Boga napisanymi dziesięcioma przykazaniami.

Świat katolicki święci trzy dni — 24, 25, 26 grudnia — związane z datą narodzin Syna Bożego. A jakie daty, wydarzenia, świętują wyznawcy innych religii?

W islamie **Mahomet**, podobnie jak Chrystus, szanowany jest jako prorok, przez którego przemawiał Bóg. Urodził się w roku 570 po Chrystusie w Mekce w zubożałej rodzinie Haszim, należącej do rodu Kurajszytów. Wcześniej został sierotą i pracował jako pastuch, dopóki bogata wdowa Cha'adidza nie zatrudniła go w charakterze poganiacza wielbłądów, a następnie kierownika karawan handlowych. Po jakimś czasie ta czterdziestoletnia kobieta poślubiła go, chociaż był od niej o piętnaście lat młodszy. Mahomet mógłby pędzić życie bogatego kupca, gdyby nie zmiana, która w nim nastąpiła. Spowodowały ją wizje, jakie miał w pieczarze opodal Mekki. Dzięki tym wizjom, w którym ukazał mu się anioł Gabriel albo sam Bóg, Mahomet nabrał przekonania, że został wybrany na proroka Arabów. Najpierw wiarę w swoje powołanie uzyskał tylko u żony; opozycja większości mieszkańców Mekki była tak silna, że musiał opuścić swoją ojczystą (żona jego w tym czasie zmarła) i przeniósł się do Jatrybu, dzisiejszej Medyny. Ucieczka ta, miała miejsce 15/16 lipca 622 roku i od czasu Omara od daty tej muzułmanie liczą czas. Mahomet szybko stał się jednym z najbardziej wpływowych ludzi w mieście, stał się mężem stanu, dowódcą wojskowym. W 630 roku zdobył Mekkę, jej mieszkańcy stali się jego gorliwymi wyznawcami, tym bardziej że główną świętość pogańskich Arabów — Kaabę uznał za miejsce

pielgrzymek także nowej religii. Prowadził skromny tryb życia, ale utrzymywał harem; fakt, że posiadał więcej kobiet niż to było dozwolone jego wyznawcom, usprawiedliwiał otrzymanym objawieniem.

Budda urodził się prawdopodobnie ok. 560 roku p.n.e. w Kapilavastu w Himalajach, w pobliżu dzisiejszej granicy indyjsko-nepalskiej, jako syn króla Siuddhodana i jego żony Mai.

Młodość jego otacza wiele legend. Matka miała go począć bez udziału ojca, syn bowiem wszedł w jej łono w postaci białego słonia; przy jego narodzinach świat miał się wypełnić promiennym blaskiem.

Na czele hinduskiego panteonu stoją trzej wielcy bogowie: **Brahma**, **Wiszn**u i **Sziwa**. Niekiedy przedstawiani są oni w postaci trójcy; Brahma symbolizuje wówczas stworzenie, Wiszn u trwanie, a Sziwa zniszczenie świata. Brahma nie jest, jak często się sądzi, najwyższym bogiem bramanizmu, jest tylko mistrzem, który na zlecenie wyższego boga kształtuje świat. Dosiada on gęsi. Małżonką jego jest Saraswati, bogini uczoności.

Wiszn u i Sziwa są natomiast najwyższymi bogami hinduistów, tak dalece, że każdy z nich przez swoich czcicieli uważany jest za jedynego odwiecznego władcę świata, podczas gdy inni niebianie jako istoty przemijające podlegają prawu wędrówki dusz. Wiszn u przedstawiony jest z czterema rękami, w których trzyma dysk, lotos, muszlę i pałkę; dosiada orła Garudy. Inne wizerunki przedstawiają go odpoczywającego na wężu świata. Często przy tym jego małżonka Lakszma, bogini piękności i szczęścia, masuje mu nogi. Wiszn u wielokrotnie ukazywał się na Ziemi w postaci zwierzęcej lub ludzkiej, aby ratować ludzkość lub niszczyć potwory. Między innymi jako ryba uratował Manu, praojca ludzkości, z potopu, kazał mu zbudować łódź, którą następnie przymocował do swego rogu. Jako Kriszna wychowywał się wśród pasterzy, ponieważ jego wuj Kansa godził na jego życie. Po zabiciu Kansa panował w Mathurze. Stoczył wiele walk, udzielał nauk filozoficznych, wreszcie został zabity przez myśliwego, który z daleka wziął go za gazelę. Kriszna słynie także ze swoich przygód miłosnych, miał 16 tysięcy żon i sto osiemdziesiąt tysięcy synów.

Sziwa wyobrażony jest z jedną lub pięcioma głowami, posypany białym popiołem, w naszyjniku z ludzkich czaszek. W czterech rękach trzyma: trójząb, łuk, bęben. Małżonką jego jest Parwati. Znany mit opowiada, że bóg miłości Kama na polecenie innych bogów wypuścił swe strzały ku Sziwie, gdy ten był pogrążony w medytacji. Następnie Sziwa zakochał się w córce Himalajów i spłodził z nią boga wojny Skandę, który jako jedyny mógł zwalczyć demony zagrożające niebianom. Tak więc posiada bardzo różne właściwości; zwykle przeciwstawia się go „dobremu” Wiszn u jako złego boga. W wielu poematach jego wyznawców przedstawiony jest jako zbawiciel i pocieszyciel.

Różne są wyobrażenia o narodzeniu i życiu wysłanników Boga. Czasy ich przyjścia na świat są tajemnicą cudownego stworzenia. Znamy je tylko z przeróżnych przekazów. Jak było naprawdę wie jednak, tylko ten Jedyny.

MAREK KOZUBAL

PRZED-ŚWIĄTECZNY PAMIĘTNIK SZALONEJ GOSPODYNI

1 grudnia: Szczęściem, że dotarłam do wypłaty. W listopadzie, jak się okazało, zapożyczyłam się tylko na 300 tys. — to prawie trzy razy mniej niż musiałam w październiku. Mówiąc językiem reklamy: kochany schudłam! Mam więc te swoje 2 mln 150 tys., dokładam mężowskie 3 mln i przynajmniej dziś jestem cała w skowronkach.

7 grudnia: Mój Boże! Zagalopowałam się. Na Mikołajki Jurkowi kupiłam gatki, Kaśce 3 kasety, a Markowi najtańszego transformera. Sobie zaszalałam — liposomy. Niestety — krajowe. Pękły 3 stowy. Od dzieci dostałam po lizaku i jak zwykle przepiękne bażgrofy. Juruś z zaskórniaków wyplukał się na lody. Tylko komu tym zrobić przyjemność?

9 grudnia: Ze spółdzielni przysłali kartkę, że doliczają nam odsetki od nie zapłaconego w terminie czynszu. Kurcze — skąd ja wezmę na dwa tygodnie przed świętami 287 tys. zł? Razem z listopadowym długiem (jeszcze jakoś się nie odda) mam do tyłu prawie 600 tys.

Po południu: do wydatków dopisałam 390 tys.: jak nam tego żarcia nie starczy do końca tygodnia, to się wścieknę. Przecież za dwa tygodnie święta.

12 grudnia: O rany, byłam w kinie! Ślubny zwariował i stwierdził, że jak się nie rozerwę, to on wpadnie w nerwicę. „Nagi instykt” jest przereklamowany. Najchętniej obejrzałabym jeszcze raz „Thelma i Louis”, ale to było 3 miesiące temu. Jurek coś bąknął, że warto by było raz na rok wybrać się do teatru. Pewnie warto...

14 grudnia: Wpadła do nas Anka — moja przyjaciółka z uczelni. Trafiała mnie na stowę pożyczki, (serce mi krwawi, portmonetka popiskuje) za to posłuchałam sobie o Baśce. Siedzi od dziesięciu lat w Kanadzie. Kanadyjka całą gębą, dom z ogrodem, dwa samochody. Baśka opowiadała, że tam nudno jak diabli, wszystko jest na swoim miejscu i uporządkowane. Ponudziłabym się i ja trochę. Anka mówi, że to straszne, ta Baśka praktycznie już całkowicie się wykorzeniła. Ciekawe, czy jak ja bym wyjechała i siedziała tam dziesięć lat, też bym po dziesięciu minutach nie miała o czym rozmawiać z koleżankami? A kiedyś potrafiły godzinami ze sobą przegadać.

16 grudnia: W kwaciarni na rogu widziałam sztuczną choinkę — 3 metry — jak prawdziwa. Nawet pachniała. Cena zabójcza — 5 mln 400 tys. Cały nasz miesięczny dochód. No więc kupimy zwykłe drzewko, żeby tylko nie podróżowały za mocno. Ale święta bez choinki? A poza tym gdzie powiesić te liczne, gromadzone przez lata bombki? Może to czulostkowe, ale już się cieszę na samą myśl, że je będę wyciągać z pawlacza.

17 grudnia: Kupiłam schab, mama przywoziła „pewne” grzyby, Kaśka przyniosła tróję z geografii. Jurek chodzi zły, przeszedł na „Radomskie”. Widać kończą mu się zaskórniaki. Szczęście, że ja nie palę.

19 grudnia: Zrobiliśmy rundę po sklepach za prezentami. To co mi się podobało — za drogie, to co tanie — mnie się nie podobało. Doskonale wiem, że nie rzeczy świadczą o mnie, ale tak strasznie chciałabym mieć dla siebie upatrzony na Nowym Świecie włoski jerseyowy szary kostium. Jurek z daleka omija sklepy z grajkami — ale wiem, że marzy mu się wieża, tak jak mnie ta ciepła myszka — ale nic z tego. Wreszcie — nie rzecz w tym, żeby mieć, ale żeby o tym marzyć...

20 grudnia: Im bliżej świąt, tym bardziej się rozklejam. Całkiem bez powodu, czy tak wyobrażałam sobie 15 lat temu, tuż po studiach? Nie, nie, nie! — kręcę się w kółko wokół tych samych rzeczy, mam ciągle te same kłopoty i ciągle marzy mi się, że przyjdzie taki dzień, kiedy wreszcie stanę na nogi, wyjdę z długów i wreszcie będę trochę bardziej wolna niż dzisiaj. Finansowo, psychicznie — w ogóle wolna. Tak wiele mi się chce jeszcze w życiu zobaczyć, przetańczyć, poczuć...

21 grudnia: No i mam swój dzień. Kupiłam dwa kurczaki na święta, po 21 tys. za kilogram. Obwącane, okazały się całkiem świeże, od jutra Jurek poluje na jakiegoś tańszego karpia.

Wieczorem: Zrobiłam rachunki, do końca miesiąca zostało nam 600 tys. zł. Jak dobrze pójdzie, ten miesięczny bilans wyjdzie może na plus. Ale nie bardzo chce mi się w to wierzyć.

★

Czego miałabym właściwie sobie życzyć na przyszły rok? Żebyśmy byli zdrowi, żeby była praca i żebyśmy potrafili się, mimo wszystko, oderwać od ziemi. Choć na trochę. Przrzekam wam, moja rodzinko, że ja się wreszcie oderwę. Naprawdę oderwę się!...

Swoją codzienną bieg opisała Małgorzata, nauczycielka w jednej z warszawskich podstawówek

GWIAZDKOWE ŻYCZENIA

CD ZE STR. 3

— wychowują w posłuszeństwie wobec rodziców, księdza, nauczyciela. A władzy przede wszystkim.

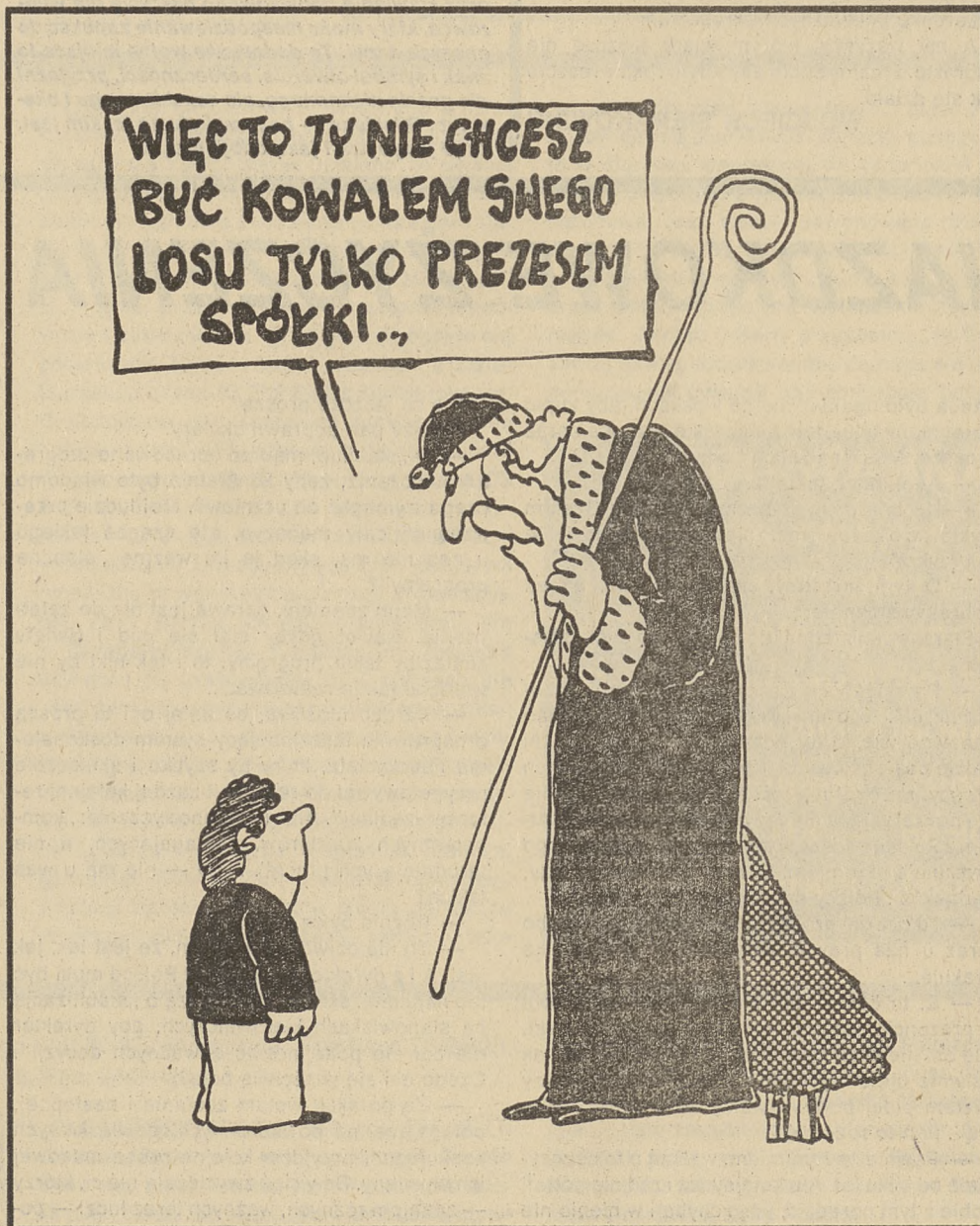
2. Dyrektorów nie skażonych piętrem nomenklatury, umiających kierować szkołą bez pieniędzy.
3. Rodziców, którzy akceptują wszelkie zmiany w oświacie, również te, za które muszą płacić.
4. Burmistrzów i wójtów, którzy nie będą się ociągać z przejęciem od nas ciężaru prowadzenia szkół.
5. Związków zawodowych, chętnych do współpracy i ugody, a nie do strajków i protestów.

I co pan na to?

— Ale Mikołaju, toż tego wszystkiego nawet święty nie zalał! Starszy pan pokiwał oświetloną głową.

— Tyle to i ja wiem, synu. Mogę tylko jedno. Pogadam z Szelem, może uda się spełnić choć to jedyne życzenie, o które proszą i nauczyciele i władze: lekką, ciepłą zimę, aby nie trzeba było zamykać szkół z braku opał! Resztę, niestety, musicie zalać sobie sami, siły niebieskie są na to za słabe...

LECHOSŁAW GAWRECKI



KTO WYEDUKUJE RZĄD

CD ZE STR. 1

TRWAJĄCE cały czas współzawodnictwo Wschód—Zachód sprawiło, że w latach 80. uznano naukę i technikę za dziedziny strategiczne. Polityka naukowa stała się bliższa strategii rozwoju przemysłu. Rozkwitły działania innowacyjne. Pojawily się lub gwałtownie rozwinęły biotechnologia, inżynieria materiałowa, informatyka, opto-elektronika, robotyka, technologia medyczna.

Jednak i ta dekada, a zwłaszcza doświadczenia japońskie ujawniły, że wielkie nakłady na badania naukowe nie zawsze przynoszą oczekiwany rozwój technologii i w ślad za nim wzrost dochodu narodowego. Umocniło się przekonanie, że wprawdzie innowacyjność jest zależna od inwestowania w badania i wdrażania tych wyników, to jednak powinny ją wspierać jednocześnie przepływ technologii naukowej do przemysłu, sprawny system bankowy, styl zarządzania państwem, rozpoznanie potrzeb rynkowych oraz kulturowe wartości uznawane przez dane społeczeństwo.

Jednak po raz pierwszy z taką siłą i przekonaniem lokuje się na tym samym poziomie, co wymienione wyżej czynniki, skuteczny system kształcenia zawodowego oraz zrozumienie problemów nauki i techniki przez społeczeństwo. W ślad za tym we wszystkich nowoczesnych państwach za niezmiernie ważne uznano popularyzację nauki i techniki wszystkimi skutecznymi metodami.

Właśnie w latach 80. wraz z malejącym znaczeniem energii, pracy i kapitału, zaczęto wydobywać na plan pierwszy znaczenie wiedzy i kształcenia, powszechnego dostępu do informacji, stylu zarządzania, marketingu i innowacji. Nikt rozsądny nie ma wątpliwości, że postęp techniczny przynosi efekty, jeśli jest ściśle zespolony z handlem zagranicznym, badaniami, bankami, efektywnym przemysłem, a także sprawnym systemem kształcenia. **Nigdy dotąd nie przywiązywano tak wielkiej wagi do powiązań uczelni z przemysłem. Jeśli w latach**

70. w zachodnich uczelniach można było zaobserwować zamieszanie w prowadzeniu i rozwoju badań naukowych, to współcześnie są one uważane za ważne i obiecujące. Sądzi się też, że stanowią one jedno z kół zamachowych rozwoju przemysłu.

W opublikowanym w październiku projekcie „Założeń polityki naukowej i naukowo-technicznej państwa” czytamy, że „Polska nauka jest w wielu obszarach równoprawnym partnerem nauki światowej, a polski potencjał badawczy, zwłaszcza kadrowy, jest oceniany wyżej niż potencjał gospodarczy. Ten atut musi zostać wykorzystany dla reformy i rozwoju państwa, a zwłaszcza jego gospodarki”.

Naukowcy zdają sobie sprawę z naszych możliwości, wiedzą też jak są one marnowane. Rosnące na tym tle zdenerwowanie obserwuję wyraźnie m.in. wśród członków Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego. Dał temu wyraz jej przewodniczący, prof. Andrzej Białas w wywiadzie dla „Głosu”, w których zwrócił uwagę, że tak Polacy, jak rząd RP muszą zrozumieć, iż bez dobrej edukacji ludziom trudno będzie żyć, a państwu istnieć. Ale do tego trzeba przekonać większość społeczeństwa i skutecznie informować, że nie wystarczy trwać przy status quo. Dziś zarówno w powszechności kształcenia średniego, jak też stopniu scholaryzacji na poziomie studiów wyższych jesteśmy prawie na ostatnim miejscu w Europie.

Nie chce mi się wierzyć, aby w trakcie jednego miesiąca można radykalnie zmienić poglądy w sprawie polityki naukowej. Jeszcze w październiku w projekcie „Założeń polityki naukowej”, opracowanym przez KBN, polityka edukacyjna była na ostatnim miejscu wśród dziedzin spoza sfery nauki, które sprzyjają osiągnięciu celów w badaniach. W listopadzie, w kolejnej wersji projektu, znalazła się na pierwszym miejscu, a dopiero za nią — informacja naukowa i naukowo-techniczna, ochrona własności intelektualnej, polityka licencyjna, współpraca naukowa z zagranicą.

Nie jestem skłonny przeceniać tego przesunięcia na papierze, tym bardziej że jest to projekt i nie wiadomo jakie będą jego losy. Ale warto odnotować ten znamieny fakt. Gdyby w ślad za nim podążyła konkretna polityka rządu, można by powiedzieć, że zmierzamy w kierunku Europy Zachodniej. Piszę to jednak z dużymi oporami, ze względu na realia 1992 r. i najbliższą perspektywę.

W pierwszym półroczu br. uczelnie odczuły narastające trudności. Z danych MEN wynika, że w listopadzie 1991 r. zmniejszono o 13 proc. i na inwestycje o 45 proc. Jednak tegoroczny budżet miał kilkakrotnie. Aby zapobiec choć w części kłopotom, uczelnie zaczęły na coraz szerszą skalę organizować płatne studia wieczorowe, zaoczne, dokształcanie i doskonalenie podypłomowe. W niektórych szkołach doszło do paradoksu — liczba słuchaczy pewnych kierunków płatnych okazała się kilkakrotnie większa niż na analogicznych studiach dziennych.

W październiku br. nastąpiła kolejna korekta budżetu edukacji. Rząd zaproponował przesunięcie spłaty podatku od wynagrodzeń (66 mld w uczelniach MEN) z grudnia br. na styczeń, co uszczupliło budżet 1993 o tę właśnie kwotę. Jak usłyszałem w październiku od nowego wiceministra MEN odpowiedzialnego za finanse, dra Jerzego Olędzkiego, trzy kolejne kampanie oszczędnościowe doprowadziły sytuację w edukacji do stanu, w którym dalsze cięcia mogą spowodować destabilizację o skutkach trudnych w tej chwili do przewidzenia.

Prof. H. Ratajczak w przygotowanym dla potrzeb KBN dokumencie na temat finansowania badań naukowych zauważył, że „trudno prowadzić odpowiedzialną politykę naukową i naukowo-techniczną w kraju, w którym państwo nie ma polityki gospodarczej, a środki przeznaczone na naukę są na poziomie państw rozwijających się.

Można więc powiedzieć, że daleko Polsce do sytuacji, którą uczeni uważają za normalną. Porównajmy. W 1991 r. wyższe uczelnie skupiały 850 jednostek organizacyjnych, które prowadziły badania naukowe wraz z dydaktyką. Pracowało w nich ponad 51 tys. pracowników naukowych. W tym czasie PAN zatrudniała 4,3 tys. a inne placówki badawcze — 10,5 tys. osób. W dwu ostatnich grupach wiele placówek uległo likwidacji w 1992 r., liczne prawie nic nie robią z braku pieniędzy. Trudno przewidzieć, ile

spośród nich padnie ostatecznie w 1993 r. Uczelnie jeszcze się trzymają, ale i tu narastają złe procesy. Maleje liczba absolwentów oraz zmienia się struktura tych, którzy kończą studia. Jest mniej techników, ekonomistów, prawników i administratorów, a więc reprezentantów dziedzin o szczególnym znaczeniu dla kształtowania współczesnej Polski.

Specjaliści uważają, że potrzebne są nie tylko pieniądze. W ślimaczym tempie rozwijają się prace legislacyjne, dla których 1992 r. został stracony. A zmiany wymaga prawodawstwo określające status polskiej nauki, a także szkolnictwa wyższego.

Życzylbym Komitetowi Badań Naukowych, aby udało mu się przekonać rząd do przyjęcia jego postulatów w sprawie konieczności poprawy wskaźnika scholaryzacji, dostosowania kierunków kształcenia do spodziewanych potrzeb przekształcającej się gospodarki i społeczeństwa, nie mówiąc o przyszłych potrzebach integracji europejskiej. Gdyby jesz-

cze udały się kolejne zamierzenia KBM — pokonanie barier międzyresortowych w szkolnictwie wyższym, między uczelniami a innymi naukowymi ośrodkami, co mogłoby wzbogacić dydaktykę i kształcenie interdyscyplinarne — można by wówczas mówić, że wychodzimy na prostą.

Jeśli do tego nie dojdzie drenaż mózgow rozwinie się na szerszą skalę. Świat, jak sądzi rektor UW, prof. Andrzej K. Wróblewski, będzie nam uciekał coraz bardziej, a Polacy — jak uważa rektor stołecznej AM, prof. Tadeusz Tolłoczko — będą spełniać w przyszłym europejskim domu rolę pomocy domowej.

Tylko kto wyedukuje polski rząd, parlament, elity polityczne, by wszyscy zrozumieli sedno edukacyjnych działań. Jak przekonywać polskie społeczeństwo, by poparło idee kształtowania mocnego systemu edukacyjnego i badań naukowych?

JERZY KRAŚNIEWSKI



Rys. STOK

EWA Z DZIEĆMI W TLE



Fot. Jan Balana

Szkoła Podstawowa w Gąskach, woj. suwalskie. Piętnastu nauczycieli, dwustu pięćdziesięciu sześciu uczniów. Wszyscy mieszczą się w dwunastu salach lekcyjnych. Do szkoły przyjeżdżają dzieci z dziewięciu wiosek gminy Olecko.

Od pięciu lat pracuje tu Ewa Kowalewska. Drogą do Gąsek przemierza codziennie 12 km z Olecka. Ma 25 lat i bardzo lubi dzieci. W dwóch klasach pierwszych uczy matematyki, polskiego, muzyki oraz pracy-techniki. Prowadzi też zajęcia z wf. Tygodniowo dwie godziny poświęca najsłabszym w zespole wyrównawczym.

Ewa uważa, że wszyscy jej uczniowie, zwłaszcza w pierwszych miesiącach swojej nauki, wymagają bardzo troskliwej opieki.

— *Myślę, że mój zawód jest bardzo piękny. Dopiero pracując z najmłodszymi zdałam sobie sprawę, jak wiele zależy od nas, od nauczycieli. Dzieciom bardzo dużo trudności sprawia przejście z „zerówki” do klasy pierwszej. Nielatwo jest być uczniem. Dlatego staram się, aby to przejście było dla nich jak najmniej bolesne i aby przebywanie w szkole nie kojarzyło się im tylko z pracą, nauką i obowiązkami. Moje maluchy na każdej przerwie bawią się, często bawię się razem z nimi. Na lekcjach wyświetlam im na wideo bajki, ciekawe programy edukacyjne. Od czasu do czasu udaje się zorganizować wyjazdy do kina, teatru. Dla dzieci z małej wioski i najczęściej z bardzo biednych rodzin jest to nie lada przeżycie.*

Na przerwach i lekcjach zawsze otacza ją grupka najmłodszych. Od razu widać, że lubi dzieci i swoją pracę. Dla niej być nauczycielem... to nie tylko lekcje, dzienniki, dzwonki, sprawdziany i oceny. To, co robi, chce robić jak najlepiej. Ma dużo dobrych pomysłów. Ostatnio dla swoich maluchów wykonała gazetkę. Zmieszczył się tam plan lekcji, aktualności „szkolne”, „lista najlepszych” — z miejscami na zdjęcia uczniów wyróżniających się. Na początku roku szkolnego okazało się, że nie dla wszystkich

wystarczyło zeszytów do ćwiczeń, wówczas brakujące egzemplarze wykonała sama, na ksero. Po odbiciu kolejnych stron ćwiczeń i po ich złożeniu w całość — okazało się, że od biedy mogą zastąpić „prawdziwe” zeszyty.

Ewa do niedawna, przez cztery lata, pracowała w punkcie filialnym w małej czterooddziałowej szkółce w Zajdach. Od września ubiegłego roku, po rozpoczęciu pracy w Gąskach mieszka w Olecku razem z rodzicami i starszym bratem. Każdy swój kolejny dzień rozpoczyna bardzo wczesnie. O szóstej rano wychodzi z domu, aby zdążyć na szkolny autobus. Punktualnie o 6.20 jest już na przystanku. O 7.00 w Gąskach. Pięć minut później rozpoczyna pierwszą lekcję. Ostatnią kończy o godz. 13.00. Przez dwie godziny przygotowuje się do zajęć w dniu następnym, a o 15.00 z powrotem odjeżdża do Olecka. O godz. 16.00 jest w domu.

— *Najwięcej wolnego czasu spędzam przed ekranem telewizora oglądając programy z „satelity”. Dużo też dziergam i trochę czytam. Nawet kiedy jestem w domu o szkole zapomnieć nie mogę. Zawsze przecież znajdują się jakieś nie sprawdzone zeszyty i ćwiczenia. Późnym wieczorem, kiedy w domu robi się cicho i spokojnie, gdy rodzina już śpi — mówi Ewa — ja zabieram się do pracy. Właściwie nie muszę tego robić o tej porze, ale lubię pracować w nocy.*

Ewa marzy o własnym mieszkaniu, prawie wszystkie swoje pieniądze wpłaca na książeczkę i z każdym miesiącem przybywa złotych na kolejne metry kwadratowe własnego M. Jak sama mówi — za rok powinna już otrzymać klucze...

DARIUSZ SARZYŃSKI





Z MARIĄ FOMIN, dyrektorem Polskiej Szkoły im. Iły Kozakiewicz w Rydze, rozmawia Krzysztof Karulak

— Poznałem panią w 1990 roku jako zaangażowaną działaczkę Związku Polaków Łotwy. Obserwowałem praktyczną realizację cyklu wieczorów poświęconych popularyzacji ważkich dokonań polskiej kultury w Klubie Drogowca w Rydze. Zetknęliśmy się też przy organizacji zajęć Szkoły Niedzielnej Języka Polskiego. Nic wówczas nie wskazywało na to, że będzie się pani ubiegać o fotel dyrektora Polskiej Szkoły w Rydze, chociaż już wtedy trwały intensywne przygotowania do oficjalnego jej uruchomienia. Chciałbym więc zapytać o motywy zgłoszenia swojej kandydatury do konkursu?

— Rzeczywiście, decyzję o przystąpieniu do konkursu na dyrektora Szkoły Polskiej w Rydze podjęłam dopiero po wielu rozmowach z kolegami ze Związku Polaków. Zasadnicze znaczenie miał fakt, że byłam jedną z nielicznych osób, które mogły się o to stanowisko ubiegać. Zgodnie z tutejszymi przepisami dyrektorem szkoły — także mniejszości narodowej — może być człowiek, który spełnia dwa podstawowe warunki: ma łotewskie obywatelstwo i legitymuje się dyplomem pedagogicznej uczelni. Trzeci warunek postawił ZPL — musiał to być Polak posługujący się czynnie językiem polskim. Jak pan wie, inteligencja została mocno przezebiona we wszystkich narodach, które znalazły się pod panowaniem Rosji, w kraju, który umownie nazwano Związkiem Radzieckim. Brak pol-

skich szkół (ostatnią zamknięto w 1949 roku) zaowocował m.in. nieznaną mi języka narodowego. Na Łotwie jest wielu nauczycieli pochodzenia polskiego, ale stopień znajomości języka uniemożliwia im skorzystanie z prawa do pracy w polskiej szkole. W rezultacie do konkursu zgłosiły się trzy osoby — jedna bez kwalifikacji pedagogicznych, druga bez praktyki w zawodzie nauczycielskim. A nam wszystkim zależało nie tylko na tym, by mieć narodową szkołę, ale także i na tym, by była to bardzo dobra szkoła.

— Rozumiem, że swój akces do konkursu zgłosiła pani niejako z poczucia narodowego obowiązku?

— Polska była dla mnie zawsze wartością nadrzędną. Po kądzieli pochodzę z rodu Puzyńców; po mieczu — z rodziny Szwabowiczów. Ukończyłam szkołę im. A. Mickiewicza w Wilnie. Swoje polonistyczne kwalifikacje uzupełniam od lat korzystając z różnych form edukacji organizowanych w kraju — głównie przez Uniwersytet im. M. Skłodowskiej-Curie w Lublinie.

— Można więc powiedzieć, że od 1 września 1991 roku, czyli od momentu otwarcia Polskiej Szkoły w Rydze, robi pani to, o czym zawsze marzyła w skrytości ducha?

— Generalnie rzecz ujmując — tak. Nie sądziłam jednak, że urzeczywistnienie marzeń odbywać się bę-

dzie kosztem aż tak wielkiego wysiłku, chociaż wiedziałam, iż nie będzie łatwo. Czasami myślę, że symbolikę mojego dyrektorowania określiły człogi wkomponowane w scenariusz dnia, w którym odbywał się konkurs (19.08.91) oraz wydarzenia związane z tzw. puczem łotewskim, ściśle zresztą zależnym od puczu moskiewskiego, w dniu przejmowania przeze mnie szkolnego obiektu (21.08.92).

— Zwykle jednak na trud i kłopoty patrzy się inaczej, kiedy oblicza się

— Udało się jednak państwu zupełnie przyzwoicie wyposażyć 8 sal lekcyjnych, zorganizować salę komputerową, fotolaboratorium, salkę dla koła krawieckiego, świetlicę z biblioteką przystosowaną do wyświetlania filmów techniką wideo, uruchomić gabinet lekarski. Dysponujecie pomieszczeniami kuchennymi, stolówką, pralnią, magazynami. Jest gabinet dyrektora, pokój nauczycielski, a także magazyny. Czy to mało?

— I niech pan doda też wąskie i kręte korytarze, maleńkie salki,

zacji. Działkę dało państwo łotewskie. Potem wprawdzie się okazało, że jest ona prawowitą własnością cerkwi, ale władze kościoła prawosławnego poddały do rysującego się problemu z dużą wyrozumiałością, za co im jesteśmy bardzo wdzięczni. Mamy też oficjalne zezwolenie na budowę szkoły. Trwają prace związane z przygotowaniem dokumentacji. Jest też wstępna zgoda wykonawcy — firmy budowlanej z Kielc, którą kieruje pan Zdzisław Skowron, a którą zhamy z prac przy renowacji Starówki. Mamy też sporo instytucji i organizacji, jak Zakłady Mięsne w Grudziądzu i Związek Polaków w Norwegii oraz życzliwych osób, jak Andrzej Stelmachowski ze „Wspólnoty Polskiej”, Dariusz Siatkowski z Unii Gospodarczej w Warszawie, Sławomir Kalempka z UMK w Toruniu, Tadeusz Zasępa z KUL, czy pan Nowakowski z München (syn Marka Nowakowskiego) — wszyscy oni chcą nam udzielić daleko idącej pomocy. To cieszy. Jest jednak i ogrom problemów, z którymi borykam się, a których przewyciężenie nie jest sprawą łatwą.

— Bardzo serdecznie pani życzę, aby budowa szkoły stała się możliwie szybko faktem dokonanym. Lessing powiedział kiedyś, że „Samo posiadanie biblioteki nie czyni człowieka uczonym”. Nasza rozmowa koncentruje się prawie wyłącznie na zagadnieniach organizacyjnych i bazie dydaktycznej. A na wstępie już pani powiedziała, że Polakom z Łowy zależy na bardzo dobrej szkole. Pozwoli więc pani, że zapytam, kiedy znajduje pani czas na pracę ściśle pedagogiczną?

— Rzeczywiście, na pracę czysto pedagogiczną mam mało czasu. Wierzę jednak w zaangażowanie i fachowość nauczycieli, których w bieżącym roku jest zatrudnionych 17; w tym 10 z Polski. A są wśród nich tak doświadczeni i sprawdzeni pedagodzy, jak pani Jadwiga Ślusarska i pani Teresa Szołucha. Religii uczy u nas ks. Zenon Więckowski, który przyjechał z Polski dla wspierania odradzającej się wiary rzymskokatolickiej. Ogromne, nadzieje wiąże z osobą pana Władysława Klimiuka, który właśnie obejmuje obowiązki wicedyrektora do spraw pedagogicznych. Mamy bowiem ambicję efektywnego zrealizowania nowatorskiej koncepcji szkoły polskiej na Wschodzie, którą specjalnie dla nas opracowała dr Marta Urlińska z UMK w Toruniu.

— Mimo więc licznych kłopotów i nadmiaru obowiązków patrzy pani w przyszłość optymistycznie?

— Oczywiście, gdybym nie wierzyła, że w sporach o kształt szkoły osiągniemy consensus, że trudne problemy dadzą się pozytywnie rozwiązać, że osiągnięcie zamierzonego celu jest możliwe, to zrezygnowałabym z pełnionej funkcji.

— Życzę więc pani wytrwałości w urzeczywistnianiu założonego efektu, ale radzę też pamiętać, że — jak powiedział Liwiusz — „Ta władza naprawdę jest silna, której posłuszni ludzie są weseli”.

PO KĄDZIELI POCHODZĘ Z PUZYŃCÓW

zbierany plon. A w przypadku Polskiej Szkoły w Rydze nie jest on mały, jeśli zważyć fakt, że tradycja sięga zaledwie roku 1989, kiedy to uruchomiono pierwszą polską klasę w budynku 3 Szkoły Średniej (łotewskiej) w Rydze?

— Tak. Aktualnie obowiązek szkolny realizuje w naszej placówce 157 polskich dzieci. Prowadzimy naukę w 8 oddziałach (2 przedszkolne, po dwie klasy I i II, po jednej klasie III i IV). Zajęcia trwają od godz. 8³⁰ do godz. 17⁰⁰ — 12 lekcji dziennie. Pracujemy według obyczaju łotewskiego. Do godz. 13⁰⁰ odbywają się lekcje w tradycyjnym tego słowa rozumieniu, a po obiedzie zajęcia opiekuńcze, wyrównawcze (trzeba wiele czasu poświęcić na indywidualną pracę z uczniem, bowiem często podejmują u nas naukę dzieci, które prawie nie mówią po polsku i które nie mogą liczyć na pomoc w domu rodzinnym) oraz koła zainteresowań. I w tym miejscu chciałabym się pochwalić pracą koła informatycznego, fotograficznego, krawieckiego, tanecznego i wokalo-instrumentalnego.

Niestety, o godzinie 17⁰⁰ nie zamykamy szkoły, by przygotować ją do działalności w dniu następnym. Wieczorem pracuje Szkoła Niedzielną Języka Polskiego, w której naukę pobiera blisko 150 osób. Budynek jest więc przeciążony. A nie jest to obiekt typowy, bowiem zaadaptowany został na potrzeby szkolne w ciągu miesiąca — wcześniej mieściła się w nim poliklinika. Ma 120 lat i jest w stanie awaryjnym.

mnostwo niebezpiecznych schodów... etc. Robimy więcej niż możemy. Brak sali gimnastycznej zastąpiliśmy zajęciami na miejskiej pływalni. Dla celów rekreacyjno-wypoczynkowych wykorzystujemy skromne, szkolne podwórko. Ale z przerażeniem myślimy o tym, co będzie w latach następnych, bo przecież z roku na rok klas będzie sukcesywnie przybywać. A ostatnio pojawił się i problem utrzymania tego, co już posiadamy. Zgłosił się bowiem do nas niejaki pan Krejzmenic wyposażony w prawomocnictwa właścicielki budynku, Łotyszki żydowskiego pochodzenia — pani Berg — która na stałe mieszka w Argentynie i zażądała miesięcznej arendy w wysokości 300 rubli za m² — cały obiekt ma 1036 m². Skąd wziąć na to pieniądze?

— Na ile się orientuję, to jest to problem przede wszystkim władz łotewskich. Zgodnie z umową między ministerstwami (polskim i łotewskim) one odpowiadają za utrzymanie obiektu. Rozumiem jednak, że obawiacie się państwo, iż może paść propozycja zmiany miejsca lokalizacji, co spowodowałoby kolejne horrendalne wydatki. Jedyne więc rozsądne wyjście z sytuacji to skoncentrować całą uwagę na budowie własnego obiektu.

— Tak też czynimy. Od wielu miesięcy intensywnie pracuje Społeczny Komitet Budowy Centrum Kultury Polskiej w Rydze. Upragnione „centrum” ma się składać z trzech części budowanych w kolejności — szkoła, kompleks sportowo-rekreacyjny, hotel. Rozstrzygnięta jest już kwestia lokaliz-

lam z nich metodą prób i błędów. Efekt tego był lepszy lub gorszy.

Początkowo praca była bardzo stresująca, bowiem nauczaniu w szkole społecznej towarzyszą ogromne oczekiwania ze strony rodziców. Rodzice płacą, utrzymują szkołę, więc oczekują jakiegoś szczególnego zainteresowania ich dziećmi oraz wysokich wyników nauki. Gdy są one mierne często obwiniają nauczyciela albo dziecko.

Z kadrami pedagogicznymi współpraca układa się bardzo dobrze. Nie ma konfliktów, bowiem w większości nauczyciele są w jej wieku, wzajemnie sobie pomagają, wspólnie starają się rozwiązywać problemy.

Grażyna Wojno, jak większość młodych ludzi, nie ma własnego mieszkania, (mieszka z rodzicami) ani żadnych szans by je kiedyś kupić czy wynająć. Pensja młodego nauczyciela nie tworzy szans ani nadziei na posiadanie takiego luksusu.

Wolnego czasu ma bardzo mało. Większość pochłania przygotowywanie konspektów, pomocy naukowych itp. Gdy wygospodaruje sobie, chociaż trochę wolnego czasu, wyjeżdża poza Warszawę. Jej prywatne hobby to nauka języ-

ków obcych, uczęszcza na kurs języka angielskiego.

Jak mówi, ten rok był dla niej bardzo trudny — wyczerpujący. Przygotowanie i obrona pracy magisterskiej, szukanie pracy. Pochłonęło to całe jej wakacje. Nie żałuje jednak podjętego kilka lat temu wyboru. Bardzo chciała pracować z małymi dziećmi. Był to całkowicie świadomy wybór.

Co dalej? Czy zmieni kiedyś miejsce pracy? Odpowiedziała twierdząco. Nie wyobraża sobie w jednej placówce aż do emerytury.

— Niezbędna jest zmiana środowiska, jeżeli człowiek chce się czegoś nowego nauczyć, rozwijać.

Marzenia? Poprawa warunków pracy, więcej ciekawych pomocy naukowych, których nie ma lub nie zna, a które mogłaby pomysłowo wykorzystać. Prywatnie zaś, to zdobycie własnego mieszkania.

— Ostatnie, to takie moje głupie marzenie — mówi.

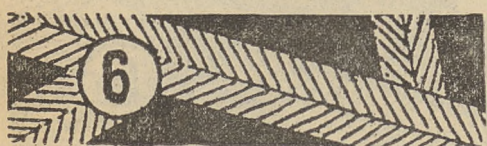
No cóż może kiedyś się zrealizuje. Grażyna Wojno ma nadzieję, jest niepoprawną optymistką.

MAREK KOZUBAL

MARZENIA

Jaki był mijający rok dla absolwentów uczelni? O czym marzą, czego pragną najbardziej? Grażyna Wojno, tegoroczna absolwentka Wydziału Pedagogiki UW, z oceną końcową bardzo dobrą, jest nauczycielką w X Społecznej Szkole Podstawowej w Warszawie.

Po obronieniu pracy magisterskiej na kierunku nauczanie początkowe stanęła przed dylematem, gdzie podjąć pracę? Zgłosiła się do Społecznego Towarzystwa Oświatowego. Okazało się, że poszukiwało ono nauczycieli, właśnie do placówek, którymi się opiekuje. Trafiła do szkoły przy ulicy Ostrobramskiej w Warszawie. Absolwentom nie jest łatwo znaleźć pracę.



Z reguły bowiem szuka się ludzi młodych, ale z doświadczeniem, przy czym nie oznacza to ukończenia studiów, lecz przepracowanie w oświacie kilku lat.

— Człowiek, który skończył studia nie jest pożądanym kandydatem. Jest chętnie widziany, ale znajduje się w gorszej sytuacji, niż ten kto pracował w szkole chociaż 2 lata — mówi.

Grażyna Wojno jest wychowawczynią I klasy, uczy niemal wszystkich przedmiotów, poza specjalistycznymi: wychowaniem fizycznym, muzyką, plastyką, informatyką, językiem angielskim.

Teoretycznie została dobrze przygotowana do pracy w szkole. Nie ma trudności w rozpoznaniu problemów dziecka w szkole, jego kłopotów emocjonalnych, nadpobudliwości, zahamowań. Gorzej jednak było z metodyką, poczuła się „wpuszczona na głęboką wodę”.

— Były takie momenty, gdy nie wiedziałam jak sobie poradzić w danej sytuacji. Wychodzi-

W tym roku wierni Barbórkowym tradycjom byli na Śląsku najbardziej uczniowie. W szkołach, które odwiedziłam w przeddzień górniczego święta, odbywały się właśnie okolicznościowe apele i akademie. Były one dla rodziców okazją do odwiedzenia szkoły. I — o czym mówi się tutaj z pewnego rodzaju zażenowaniem — wrzucenia do skrzynki paru złotych na potrzeby „drugiego domu” ich dzieci, jak do niedawna zwykło się nazywać szkołę.

O tym, że oświacie na Śląsku nie żyje się zbyt dostatnio, a nawet biedniej niż gdzie indziej — mówiła z niepokojem kurator oświaty w Katowicach **Janina Pillardy-Kozarzewska**. W porównaniu z innymi województwami Katowickie otrzymało bowiem z budżetu około 10 proc. mniej pieniędzy. W tym miejscu warto zaznaczyć, iż taki sam procent wszystkich placówek jakimi dysponuje w Polsce oświata znajduje się właśnie na Śląsku.

— W tym roku i tak dostaliśmy nieco więcej pieniędzy — mówi wstępnie naszej rozmowy szefowa katowickiego kuratorium **J. Pillardy-Kozarzewska**. — W ubiegłym, mimo iż bardzo rygorystycznie potraktowaliśmy ministerialne zalecenia oszczędnościowe, zabrakło nam 13 mld zł na wynagrodzenia. Gdybyśmy potraktowali je nieco łagodniej, to długi nasze tylko w tym dziale wydatków byłyby znacznie większe.

Działania oszczędnościowe katowickiego kuratorium nie zyskały jednak uznania u kontrolerów z NIK. W sporządzonej przez nich informacji wytyka się władzom oświatowym w Katowicach ograniczanie tygodniowego wymiaru godzin lekcyjnych w liczbie większej, aniżeli wynikało to z zarządzenia ministra edukacji (średnio jak wyliczono o 5 godz.).

W Katowickim pieniędzy brakuje dziś przede wszystkim na remonty szkół. Tapnięcia kopalniane nie omijają ich bowiem, a niektórym placówkom oświatowym dają się mocno we znaki. Szczególnie tym wiekowym. Jak obliczono ogółem wyremontować trzeba by tu 250 szkół na co potrzeba około 350 mld zł. Tymczasem katowickie kuratorium wspólnie z samorządami wydatkować mogło na ten cel zaledwie 25 mld zł.

— To prawda, iż do usunięcia szkód górniczych w naszych placówkach zobowiązana jest kopalnia — informuje wicekurator **Bernard Labusek**. — Do tej pory nie było z tym większych problemów. Obecnie jednak sytuacja finansowa wielu kopalń jest tak fatalna, iż nie mogą one w pełni wywiązać się z tych zobowiązań. Zdarza się także — jak to ma miejsce np. w Rudzie Śląskiej, że brakuje pieniędzy w kopalnianej kasie na dokończenie, rozpoczętej kiedyś przy okazji koniecznego remontu rozbudowy szkoły.

Coraz częściej także kopalnie zmuszone są odmówić szkołom kredytów na opał. Stąd ostatnio samorząd gminy Mikołów zrezygnował z wpływów jakie winna mu była kopalnia, w zamian za dostarczenie węgla do szkół. Mimo tych i wielu innych przychylnych dla oświaty gestów i działań szacuje się iż w Nowy Rok oświata śląska wejdzie z 200 mld zł długiem. W tym z niezapłaconymi rachunkami za energię elektryczną i ciepłą, wywóz nieczystości itp. Stąd też jest to jeden z istotnych powodów, dla których katowicka gmina nie kwapi się zbyt do przejęcia pod swe skrzydła działających na jej terenie 13 szkół. Chociaż jak dotąd kuratorium dotrzymywało dżentelmeńskiej umowy i regulowało długi, jakimi szkoły obciążone były przed przekazaniem ich do gmin. W sumie jak dotąd gminy sprawują opiekę nad 137 szkołami spośród blisko 900 działających na terenie Górnego Śląska. Przewiduje się, iż od przyszłego roku liczba szkół samorządowych zwiększy się o 141.

SPECYFIKA POTRZEB

Szkoły są jednak różne i różny jest w nich koszt kształcenia jednego ucznia. Odmienne są także potrzeby finansowe niezbędne do realizacji cięższych na nich zadań wychowawczo-opiekuńczych, od których jak dotąd na szczęście nikt je nie zwolnił. Podobnie jak nie zlikwidowano dotychczas domów dziecka, rodzin zastępczych, pogotowia opiekuńczego itp.

Placówek zaś tego typu jest na Śląsku wiele, a potrzeb jest jeszcze więcej. Szkół podstawowych specjalnych jest np. aż 47 w tym 5 tzw. szkół życia. Z reguły mieszczą się one w bardzo starych budynkach. Zaledwie kilka z nich i to w ostatnich dwóch latach udało się przenieść do lepszych pomieszczeń. A wszystko to w sytuacji, gdy wskaźnik dzieci upośledzonych jest w Katowickim najwyższy w kraju i znacznie wyższy od tego jaki określa WHO (Światowa Organizacja Zdrowia). Katowickie ma także stale miejsce w czołówce aglomeracji dotkniętych różnego typu patologiami. Stąd liczba dzieci, które trafić powinny do zakładów opieki całkowitej jest znacznie większa aniżeli liczba miejsc jakimi one dysponują.

— Praktycznie z każdej dużej szkoły osiedlowej można by utworzyć jeden dom dziecka — mówi z zaskaniem **Stanisław Drzażdżewski**. W sumie opiekę całkowitą zapewniać około 7 tys. dzieciom. W pogotowiu opiekuńczym w Katowicach zamiast 130 wychowanków przebywa 175, a wielu innych czeka w kolejce. Różnego typu zaniedbań wychowawczych sądy rejonowe na naszym terenie notują tak dużo — wynika z nich, że tego typu opieką powinniśmy objąć ok. 16-17 tys. dzieci i młodzieży. Aby

tak się stało, a przede wszystkim by skuteczniej zapobiegać zaniedbaniom wychowawczym zanim młody człowiek wejdzie w kolizję z prawem, potrzeba pieniędzy i to niemałych. Tymczasem obecnie otrzymujemy ich mniej niż np. warszawskie kuratorium i stanowią zaledwie 9 proc. w wydatkach pozapłacowych.

Największym jednak problemem przed jakim aktualnie staje oświata na Śląsku to likwidacja szkół górniczych. Dotychczas w 78 zespołach było ich 160, z czego 20 już w najbliższym czasie przejmie kuratorium.

— Trzeba jednak pamiętać iż w utrzymaniu tych placówek w znacznym stopniu, do 50 proc., partycypowały kopalnie — informuje wicekurator **B. Labusek**. Nie wystarczy więc przekazać tylko środki, jakie w dziale oświata i wychowanie miał w budżecie minister przemysłu i handlu na konto ministra edukacji. Wiadomo bowiem, że będzie ich wtedy za mało i szkoła nie będzie się mogła z nich utrzymać.

Ponadto zdarza się, iż szkoła górnicza jest jedyną placówką, w której młodzież po podstawówce może kontynuować dalszą naukę. Nie trzeba więc większej wyobraźni, aby dojść do wniosku, że likwidacja kilku kopalń spowodować może na Śląsku kilka sytuacji takich, jakie mamy w Mielcu. Dlatego katowickie kuratorium liczy na pomoc zarówno ze strony rządu, jak i zagranicy, głównie Banku Światowego. — Wykorzystując dotychczasowe wyposażenie warsztatów i pracowni szkół górniczych kształcić



może młodzież w zawodach mechanicznych — mówi **B. Labusek**. Obawiamy się natomiast sytuacji, kiedy to szkoła umierać będzie powoli, a więc nie będzie naboru do klas pierwszych i zanim wyjdą z niej ostatni absolwenci, w pomieszczeniach klasowych zagnieżdżą się różnego rodzaju spółki i firmy.

Zaniepokojony sytuacją w szkolnictwie górniczym jest również Zarząd Okręgu ZNP w Katowicach. W liście do ministra przemysłu **Wacława Niewiarowskiego** prezes **J. Surman** pisze m.in. „Wydaje się, że (przynajmniej w okresie przejściowym) najważniejsze byłoby powierzenie Państwowemu Agencji Węgla Kamiennego SA roli organu wiodącego dla tego typu szkół. Ze względu na wagę problemu oraz potrzebę uniknięcia trudnych do przewidzenia skutków tak radykalnych zmian zarówno w odniesieniu do zatrudnionych w szkole pracowników, jak i uczniów oraz ich rodzin.”

Problemów ze szkolnictwem zawodowym jest sporo także poza górnictwem. Głównie dlatego, że rezygnują z prowadzenia szkół huty i fabryki. Decyzję taką podjęła m.in. włoska spółka w FSM w Tychach. W szkołach kuratorskich młodzież ma trudności z praktyczną nauką zawodu i praktykami. **Restrukturyzacja śląskiego przemysłu, z którego ludzie tu mieszkający nie mieli dotąd wiele dobrego, spowoduje iż możliwości zdobycia dobrego fachu ich dzieci będą miały jeszcze mniejsze, niż kiedyś oni sami.**

— Zła passa szkolnictwa zawodowego na Śląsku, podobnie reszta, jak gdzie indziej, minie kiedy wiadomo będzie jakich i ilu fachowców potrzeba naszej gospodarce — zauważa **Karol Komander**, kierownik wydziału kształcenia zawodowego KO w Katowicach. Pytanie to niestety od paru lat jest ciągle aktualne. Znacznie łatwiej bowiem zlikwidować szkołę i tym samym zaoszczędzić trochę grosza aniżeli opracować i konsekwentnie realizować plany produkcji dostosowanej do nowej sytuacji ekonomicznej i rynkowej. Dlatego na uwagę i upowszechnienie zasługują przemyślenia wicekuratora **B. Labuska**, związane ze stosowaną obecnie, a nie zawsze zgodną z regulacjami prawnymi, praktyką przekazywania szkół, zawodowych. Otóż rozporządzenie dotyczące prowadzenia szkół publicznych dopuszcza możliwość likwidacji szkoły, oczywiście ze wszystkimi z tego tytułu konsekwencjami, a więc m.in. wypłatą odpraw dla wszystkich pracowników szkoły. Stąd wniosek, iż przekazywaniu szkół towarzyszyć powinny rzeczowe i wyczerpujące negocjacje pomię-

dy władzami oświatowymi i organem, który chce się pozbyć szkoły.

ZMAGANIA Z BIEDĄ

Jak zatem na co dzień z tymi wszystkimi problemami radzą sobie szkoły? Czy liczyć mogą na pomoc i zrozumienie swych trudności ze strony kuratorskich urzędników, związkowców oraz rodziców? Z rozmów moich z wieloma pracownikami katowickiego kuratorium, a także przedstawicielami Zarządu Okręgu ZNP wynika, że mogą. Szkoda jednak, że współpraca pomiędzy ZNP, a obecnym kierownictwem kuratorium nie układa się — zdaniem związkowców z ZNP, najchętniej. Poprawa ich wzajemnych stosunków z pewnością byłaby z korzyścią przede wszystkim dla nauczycieli i szkoły.

— Nastroje wśród pracowników oświaty są dość pesymistyczne — stwierdził prezes **Jerzy Surman**, głównie ze względu na brak perspektyw, bowiem bywały już lata gorsze. Zawsze była jednak nadzieja, po roku 1990 tym większa, iż był on korzystny dla pracowników oświaty. Obecnie jednak wzrosły znacznie koszty utrzymania i różnego typu opłat, a nauczyciele nie mają możliwości dodatkowego zatrudnienia. **W tej sytuacji niezadowolone związki wywołują brak jakichkolwiek informacji ze strony kuratorium w sprawach dotyczących realizacji funduszu socjalnego, mieszkaniowego oraz decyzji o wstrzymaniu pod koniec ub.r. wypłat nagród dla pracowników oświaty nie będących nauczycielami.**

— Szkołom żyje się coraz biedniej, skończyły się patronaty, jakie do niedawna sprawowały nad nimi zakłady pracy — mówi **Sergiusz Karpieński**, sekretarz ZO i prezes Zarządu Oddziału w Bytomiu. — Dzisiaj nawet jeśli zakład pomaga szkole, to czyni to ukradkiem, nie życy sobie publicznego ujawnienia tego. Co zamożniejsi zaś rodzice przenoszą swe dzieci ze szkół państwowych do szkół prywatnych, które obecnie władze oświatowe preferują.

Większości rodzin żyje się jednak bardzo skromnie, mimo że statystycznie bezrobocie w woj. katowickim jest mniejsze niż w innych



Rys. STOK

sportowych — informuje dyrektorka szkoły **Jolanna Szyksznia**. Nauczyciele wykorzystują do tego celu lekcje albo poświęcają swój czas wolny. Zdarza się także, że w trosce o należyty poziom nauczania za własne pieniądze kupują pomoce naukowe, bez których trudno nauczać szczególnie pierwszoklasistów.

Fundusze jakimi dysponuje szkoła są bardzo skromne. Wystarczy podać, iż środki jakie otrzymała z ZEAS-u na utrzymanie czystości w ciągu roku, wystarczyły zaledwie na zakup — wprawdzie nieco większej ilości — ale tylko szmat. Piłki natomiast kupuje się u Rosjan — są pięciokrotnie tańsze od naszych. **Z pieniędzy komitetu oraz zarobionych przez szkołę (uzyskanych m.in. za wynajęcie sali gimnastycznej i klas w których zorganizowano pokazy i sprzedaż zdrowej pościeli) przeznaczona się na zakup krzesel, proszków, past do podłóg itp. I to sposobem gospodarczym — po cenach hurtowych i przy pomocy transportu zaoferowanego przez rodziców bezpłatnie. W sumie bowiem pieniądze jakimi dysponuje komitet są niewielkie — składka miesięczna wynosi zaledwie 10 tys. zł. Zdarza się jednak, że któryś z zamożniejszych rodziców zafunduje wycieczkę biedniejszemu koleżance swego dziecka z klasy lub na własny koszt wymaluje kilka izb lekcyjnych.**

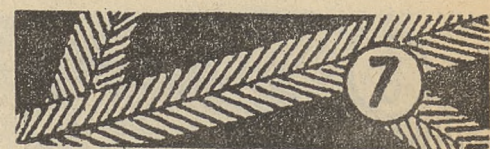
— Pieniądzy brakuje także na pomoc socjalną dla uczniów, którą powinniśmy, chociażby w minimalnym zakresie, objąć około 200 naszych uczniów — mówi pedagog **Ewa Nowak**. — Darmowe obiady udało nam się zorganizować dla 65 dzieci. Co jakiś czas z myślą o nich zbieramy używaną odzież. Wszystko to jednak jest kroplą wody w morzu potrzeb. Stąd praca moja polega w znacznym stopniu na wydeptywaniu ścieżek i wyciąganiu ręki do przeróżnych instytucji, a przede wszystkim do opieki społecznej z prośbą o pomoc dla naszych wychowanków. Wiele mamy wśród nich półsierot, dzieci z rodzin wielodzietnych, z rodzin rozbitych, dzieci alkoholików itp.

Ile dzieci wychowuje się w rodzinach dotkniętych bezrobociem tego nikt nie wie, w dziennikach szkolnych nie ma już bowiem rubryki — miejsce pracy rodziców.

Szkoła to jednak nie ochronka, dlatego dyr. **J. Szyksznia**, jak i szefowe obydwu działających w szkole związków ZNP i „Solidarności” **Ewa Pawlak** i **Ewa Nowak**, z zaskaniem mówią również o uczniach zdolnych. Bieda oświatowa im również wyrządza krzywdę. Słabeuszki mają chociaż zajęcia wyrównawcze, a uczniowie zdolni pozbawieni są dostępu do nowoczesnych pomocy dydaktycznych i różnego rodzaju zajęć rozwijających ich zainteresowania np. językowe, sportowe, kulturalne. Nie zapewnia im tego dziś szkoła ani rodzice. Dla wielu młodych pasjonatów i hobbistów niedostępne są bowiem również zajęcia organizowane w Pałacu Młodzieży. Są odpłatne, a na to nie stać większości rodzin górniczych bądź hutniczych.

Tak więc prysnął jeszcze jeden mit o Śląsku. Okazuje się, że kiepsko jest nie tylko ze zdrowiem uczniów tego regionu — o czym do niedawna zabroniono to mówić i pisać nawet lekarzom — lecz z wieloma bardzo istotnymi problemami borykają się również ich szkoły. Podobnie więc jak znalazły się w końcu pieniądze (choć jest ich niewiele) na „zielone szkoły”, dzięki którym dzieci ze Śląska mogą przez 2-3 tygodnie oddychać powietrzem czystszy i zdrowszym, pomoc finansową uzyskać powinna również oświata na tym terenie. Zarówno ze względu na specyfikę kształcenia i trudne warunki pracy wielu szkół, jak i plagę zjawisk patologicznych, dotyczących w niemałym stopniu także uczniów. Nie może natomiast być żadnego wylumaczenia dla dyskryminacji finansowej szkół woj. katowickiego.

KRYSTYNA STRUŻYNA



WYZWANIA A NIE NADZIEJE

CD

ZE STR. 1

poczucie, że nic nie warto robić, bo to ryzykow- ne. To zależy od postawy każdego z nas.

Redakcja: — Profesor Radziewicz zdaje się uważa, że raczej jest to otwarcie na postawy lekkowe.

Julan Radziewicz: — Nie, ja stwierdzam, że postawy lekkowe zawsze towarzyszą zmianom innowacyjnym; to jest naturalne, ani złe, ani dobre.

Anna Radziwiłł: — Tak naprawdę, to o małej ilości zjawisk społecznych można mówić, że są negatywne albo pozytywne — to my im nadajemy naszą postawą negatywnym lub pozyty- wizm. Ja miałam poczucie pewnej niezależno- ści i przed 1989 r. Ale niezależność może polegać także na tym, że świadomie decyduję się, że robię karierę i ja robię; albo na tym że boję się być wyrzucona ze szkoły, wobec tego robię tak, żeby nie być wyrzuconą. Oczywiście to, o czym mówiłam nie zwalnia autorów syste- mu, decydentów od tego, żeby tworzyć takie warunki, które sprzyjają temu, żebym wybierała pozytywnie. Minister nie jest zwolniony od wy- dawania mądrych przepisów i ja nie jestem zwolniona od tego, żeby nawet przy głupich przepisach zachowywać się racjonalnie.

Andrzej Grzegorzcyk: — To można by tak uogólnić, że właściwie twórczość człowieka najbardziej zależy od jego decyzji, jego woli. Z tym, że może nie wszystkie te decyzje są tak całkiem świadomie podejmowane. Ludzie się boją i nie zawsze zdają sobie sprawę, czego się boją — pewne wybory są dokonywane bez pełni świadomości swoich czynów. Bronilibym trochę opisu sytuacji pana profesora. Bo to twórczości, potrzebne jest minimum informacji — o sytuacji, o stabilności, o sposobach działania. W dużym bałaganie nie wiadomo od czego zacząć twór- czość, człowiek może być rzeczywiście bezrad- ny, nie tylko bezradny w sposób wyuczony.

Anna Radziwiłł: — Naturalnie, nie można nakręcać zegarka, kiedy nie wiadomo, w którą stronę chodzą wskazówki.

Jan Zaclura: — Nie zgadzam się, że nie powinniśmy mówić o zjawiskach kryzysowych. Czytelnicy mogą dojść do przekonania, że ob- racamy się w bardzo dużej sferze ogólności, jakbyśmy nie znali życia. Kryzys szkoły jest zjawiskiem obiektywnym i nie tylko polskim, można zatem mówić o kryzysie polskiej szkoły. I to nie jest tak, że nauczyciele uświadamiają sobie ten kryzys, ale to czynniki zewnętrzne, pozaszkolne, najczęściej wmawiają, że ta in- stytucja przechodzi kryzys. Przecież bardzo często są publikowane poglądy, że nauczycieli trzeba wymienić, albowiem oni nie spracują wyzwaniem przyszłości. Czy to się nam podoba, czy nie — jest to adresowane do szkoły z prze- konaniem, że ona, zawód nauczycielski, przeży- wa kryzys wartości, postaw, które są produktem przeszłości.

Powiedział pan, że w edukacji jest bałagan w zakresie tworzenia, przestrzegania prawa itp. Ale bierze się on również i z tego, że teraz inaczej się patrzy na mechanizmy wewnątrz- szkolne i budowy szkoły, niż gdy się je tworzy- ło. Ustawa oświatowa miała rozstrzygać o funk- cjonowaniu systemu oświatowego, nadzorze, zarządzaniu, itd. w okresie przemian. A prze- cież już ona wniosła odstępstwa od postulowa- nych mechanizmów społecznego wpływu na szkołę, wyłanianie kadry kierowniczej. Wów- czas mówiono jeszcze o roli czynników społecz- nych, w tej chwili mówi się, że ten mechanizm się nie sprawdza. Bo nie dokonano totalnej wymiany kadry kierowniczej. Czyli dziś odma- wia się czynnikom społecznym wpływu na wy- bór dyrektora. Uważam, że w ustawowym trybie wyłaniania dyrektor nie uzależnił się od niko- go, a ten sposób promowania tylko umacniał jego pozycję w środowisku. Teraz odchodzi się od tego, na rzecz wzmocnienia czynnika nad- zorującego i prowadzącego szkołę. Wracamy do biurokratycznego wyłaniania kadry kierow- niczej — co oceniam negatywnie.

Redakcja: — Czy jest to dowód kryzysu, czy braku stabilizacji, o której mówił prof. Radzie- wicz? Skoro doszliśmy do uspołecznienia, to zastanówmy się, jaki model powinniśmy przyjąć — szwajcarski czy np. częstochowski?

Julian Radziewicz: — Słowo „uspołeczenie- nie” jest kolejnym słowem-kluczem. Jestem za szukaniem własnego modelu, może nie tak prostego jak dotąd. Uważam, że całe nieszcze- ście w tym „uspołecznieniu” polega na tym, że rozumiane jest jako delegowanie uprawnień z góry w dół, co jest czysto mechanicznym działaniem zwalnającym z odpowiedzialności jednych, a obciążającym odpowiedzialnością drugich. Uspołecznienie — wg mnie — polega na rozszerzeniu uprawnień na każdym szczebla — ministra, kuratora, dyrektora, rady pedagogi- cznej, uczniów, co by oznaczało np. w odniesie-

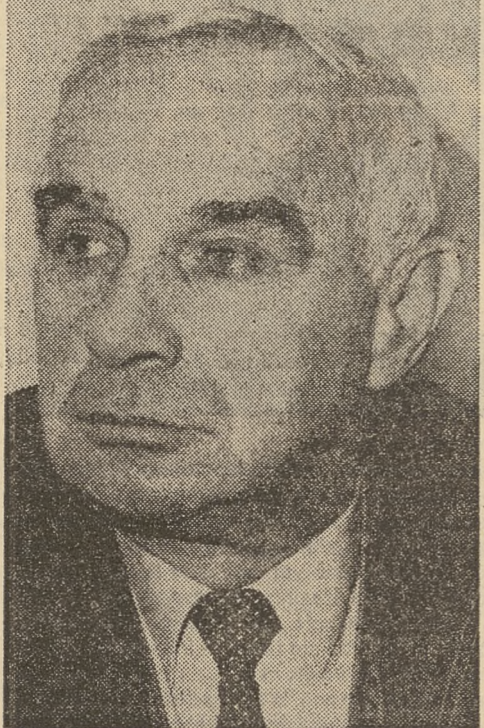
niu do szkoły, że oto uczniowie do tej pory musieli się tylko uczyć, a teraz mogą np. prowa- dzić działalność gospodarczą na terenie szkoły. Nauczyciele, którzy dotąd otrzymywali gotowe programy, teraz mogą je modyfikować, dobie- rać podreżniki, tworzyć szkoły autorskie. Nikt nie delegował „w dół” uprawnień na ich rzecz; oni mają rozszerzone pole uprawnień. To jest droga, która budzi mój optymizm, bo coraz wyraźniej widzę ten ruch — idący od dołu i wszerz.

Andrzej Grzegorzcyk: — Dlaczego używanie słowa uspołecznienie? — Nie wiem, czy to jest dobry termin. Użył go 50 lat temu Suchodolski i potem Bandura — a jest on wieloznaczny. To, o czym pan mówi, jest to po prostu pewien element wolności, który daje nauczycielowi moż- liwość twórczości.

Julian Radziewicz: — Pan profesor w poprze- dniej wypowiedzi użył wyrażenia, które mnie przeraża, ale jest zgodne z rzeczywistością. Chodzi mi o ten modny termin w psychologii — wyuczona bezradność. Otóż właśnie tylko uczenie, nie wychowanie do zawodu pedagoga powoduje, że ogromna liczba nauczycieli, pre- zentuje postawę wyuczonej bezradności, co manifestuje się w powiedzeniu — to ode mnie nie zależy, my tego nie możemy, itd.

Redakcja: — Doszliśmy zatem do podstawo- wego problemu: nauczyciel — dobry, zły, jakie warunki go stwarzają. Problem w tym, czy dobry nauczyciel rzeczywiście w każdych warunkach będzie uczył dobrze! Czy powolywanie się na przykład Sokratesa dziś nam wystarczy?

Julian Radziewicz: — Twierdzę, że dobry nauczyciel zawsze się obroni. Istnieje dziś jed- nak pewna trudność, która tkwi w tym, że mamy pokolenie nauczycieli nie wychowanych do za-



wodu, a przygotowywanych; nauczane były gru- py ludzi, z których niektórym przyszło zostać nauczycielami. To nieszczeście — bo to wyjąt- kowy zawód, do którego trzeba być wychowywa- nym, a nie tylko nauczonym.

Anna Radziwiłł: — Nie ma czegoś takiego jak wychowanie, czy wykształcenie nauczyciela, które kończy się wtedy, kiedy dostaje on dyplom — edukacja nauczyciela dokonuje się w toku pracy szkolnej. Mówicie: dobry nauczyciel w ka- żdych warunkach będzie uczył dobrze, a zły — źle. Może to i prawda, ale... na pewno nie przystająca do każdego, tak nie wolno mówić, to demobilizuje.

Andrzej Grzegorzcyk: — On będzie uczył dobrze w dobrych warunkach, ale skutki jego nauczania są wywołane nie tylko przez jego wysiłki, ale i także przez warunki. Nie można powiedzieć, że warunki nie mają znaczenia.

Anna Radziwiłł: — Ja bym więcej powiedzia- ła: — to wychowanie nauczycieli dokonuje się poprzez organizację szkoły, sytuację w niej występujące, kontakty międzyludzkie, formy nadzoru — to ciąg dalszy jego wychowania. Dlatego wracam do podziału pracy — warunki trzeba tak tworzyć, jakby się wierzło, że od tego wszystko zależy. Oczywiście — nie do końca w to wierząc, bo bardzo wiele zależy od człowieka. Ale to nie zwalnia nas, żeby te warunki były. Chodzi głównie o klimat w szkole, ale i także o rozwiązania instytucjonalne, które właśnie mają sprzyjać np. temu, żeby wytworzy- ła się styczność między nauczycielem a uczniem, o co np. przy nadmiarze materiału bywa coraz trudniej.

Andrzej Grzegorzcyk: — Wróciłbym jeszcze do tego o czym mówił pan Radziewicz na początku: nietrwałość sytuacji osobistej — zwłaszcza dyrektora. Tu można dodać, że to jest rzecz powszechna nie tylko w szkolnictwie. Wszędzie jest poczucie pewnej niestalości, ale

to — myślę — w ustroju demokratycznym stwa- rza pewne wyzwanie. Mianowicie pewna trwa- łość może mieć miejsce wtedy, kiedy w społe- czeństwie jest utrwalony pewien racjonalizm, kiedy wiadomo, że mądre decyzje nie zostaną podważone, utrzymają się przez jakiś potrzebny okres. Demokracja stwarza wyzwanie racjona- lności myślenia edukacji w racjonalizmie.

Redakcja: — Oczekiwaliśmy, że państwo po- mogą odnaleźć poczucie miary, proporcji, które, jak sądzimy, gdzieś zniknęło. Bo opisuje się bardzo czarne krajobrazy polskiej edukacji, tak jakby to, o czym się w oświacie w ostatnich trzech latach było jednym wielkim nieszcze- ściem. Czyś nas, że państwa wypowiedzi temu przecza...?

Anna Radziwiłł: — Jeżeli uznamy, że prawda i wolność są bezwzględnyimi wartościami, to równocześnie możemy powiedzieć, że na pew- no jesteśmy bliżej i prawdy, i wolności, i że w szkole i w naszym życiu jest mniej fałszu.

Andrzej Grzegorzcyk: — Chciałbym tu wpro- wadzić element porządkujący — wolność sama w sobie nie jest wartością — jest warunkiem tworzenia niektórych wartości. Wartościowe by- wa dopiero to, co człowiek w warunkach wolno- ści tworzy.

Anna Radziwiłł: — Tak! ale w przeciwstawienu do zniewolenia nabiera konotacji warto- ściujących.

Jan Zaclura: — Na ile szkoła jest odbiciem nastrojów albo może te obyczące społeczne — Patrząc na szkołę uważam, że w sum- mie jest instytucją radosną i optymistyczną. Mimo trudności — pracuje. Sądzę jednak, że żadna instytucja, a szkoła w szczególności, nie znosi zaskakujących decyzji i zmian, tym bar- dziej w toku funkcjonowania. Stąd być może to czarne spojrzenie.

Julian Radziewicz: — W ogóle szkoła jest instytucją nieporównywalną z żadną inną. Przez to nauczyciele mają poczucie niepowtarzalno- ści swego miejsca i roli, przez to demonizują znaczenie tego miejsca i mają poczucie wyjąt- kowości swojego zawodu. Przez to nie osiaga- jąc efektów — bo nie mogą osiagać efektów złożonych — rozgoryczają się bardzo przedk. Jednocześnie bardzo starannie podtrzymują fik- cje. Ponadto, szkoła znalazła się w sytuacji, jakby była niepotrzebna, okazało się bowiem, że tradycyjne jej funkcje zostały zachwiane i poja- wia się problem tworzenia tożsamości szkoły — od nowa.

Jan Zaclura: — Czy pan nie uważa, że taka analiza, takie spojrzenie na rolę szkoły, zagubie- nienie nauczycieli — nie daje władzy, szczegó- lnie ministrowi finansów, podstaw do podejmowa- nia decyzji o narzucaniu szkole ekonomicz- nych ograniczeń? Skoro i tak jest ograniczona w swojej funkcji, skoro i tak w ich wyniku nic się nie stanie?... Czy to biurokratyczne spojrzenie nie jest czasem konsekwencją takiego widzenia szkoły, jakie pan zaprezentował?

Julian Radziewicz: — Tak, jest konsekwencją, ale mimo to jestem optymistą. Zawsze jest jakaś elita znakomitych ludzi, którzy świetnie dają sobie radę — rozumnych z nastawieniem samo- kształcącym, innowacyjnym, którzy wiedzą, po co przyszli do szkoły i silnie się z nią iden- tyfikują. I ta elita poszerza się. Jest to krzepiące zjawisko. A zaczyna się to nie od liceów ogólnokształcących, ale od nauczycieli nauczania początkowego, którzy tam na dole robią dop- rawdy koronkową robotę.

Jan Zaclura: — Czy w konsekwencji dojdzie pan do wniosku, że „ogon”, dajmy na to 100 tys. nauczycieli, którzy nie tworzą postępu, należy wyeliminować? A może by tak inaczej: jeśli będzie poszerzał się ten krąg elitarny, to będzie się tworzył proces eliminacji w normalnym stopniu.

Julian Radziewicz: — Bylbym za naturalną selekcją pozytywną.

Jan Zaclura: — Można patrzeć na szkołę w sposób biurokratyczno-wskaźnikowy i wtedy konsekwencją są cięcia na jakimś etapie. Moż- na i tak, że poszerzanie się grup elitarnych będzie samo w sobie elementem, który spowol- duje eliminację jednostek pasywnych, że przy- gotowanych i byby to wówczas proces natural- ny.

Anna Radziwiłł: — Już widzę tych nauczycieli, o których pan myśli, powiedzmy tych słabszych, jak mówią — stracilem pracę w procesie natura- lnym, logicznym i uzasadnionym...

Jan Zaclura: — Ale pani sama wie, że nie ma żadnych kryteriów obiektywnych, kto jest dobry, a kto zły, kogo trzeba wyeliminować...

Andrzej Grzegorzcyk: Ktoś z państwa użył zwrotu: „tożsamość nauczyciela”, ale napraw- de chodziło o poczucie przez nauczyciela sensu swojego działania przez widzenie rezultatów. Otóż w pracy wychowawczej właściwie nigdy nie ma sprawdzianu swoich rezultatów. I z tym nauczyciel powinien się pogodzić. Powinien znać te perspektywy, że może pod koniec życia zobaczy, że niektórzy jego uczniowie coś zys-

kali. Ale to nie będzie sprawdzianem tego wysiłku, który robi co dzień. A pani chce mu jeszcze zwiększyć pensum — z czym ja się nie zgadzam!

Anna Radziwiłł: — O przepraszam, chcę zwiększyć pensum, ponieważ wydaje mi się, że jest to jedyna droga zwiększania zarobków...

Andrzej Grzegorzcyk: — To już osobny temat. Ale chciałbym jeszcze wrócić do wstępnych pytań redakcji. Były one sformułowane w języku oczekiwań: zagrożeń, nadziei, kryzysów i dra- matów. Uważam, że lepsza jest filozofia, która szuka wyzwań, a nie oczekuje. Wolę język wyzwań, a nie narzekań, czy nadziei. To nieważ- ne — czy spotykają nas dramaty, czy nadzieje, chodzi o to, jakie są przed nami zadania, jakie wyzwania stawia rzeczywistość. Z tym wiąże się to co profesor Radziewicz powiedział, że nauczyciele są wychowani w pewnej retoryce — ję- zyku lubiącem tworzyć mity i fikcje. Ale to nie znaczy, że pewne hasła muszą być mitem, np. prace społeczne. One mogą być traktowane jako realne zadania, które się jednak w pewnym stopniu realizuje, chociaż podpada to pod wzniosłą nazwę. Niemniej właśnie w środowisku nauczycielskim pewna łatwość wpadania w mitologizację, w język fikcji.

Redakcja: — Skąd bierze się owa fikcja? **Andrzej Grzegorzcyk:** — To jest zjawisko historyczne, nauczycieli w marksistowskiej pe- dagogice uczony był fikcji. Język fikcji był tym językiem codziennym. Propaganda polityczna tworzyła fikcyjną strukturę wizji świata, w którą nauczyciel musiał się włączyć. To przywzrze- lenie do pewnej retoryki pozostało. Kościół ma też swoją retorykę, która też była nieauentycz- na. Zawsze łatwiejsze od analizy rzeczywistości jest użycie gotowej siatki pojęciowej, którą nakłada się na rzeczywistość dla uproszczenia swojej wizji. Racjonalistyczna analiza jest tu właśnie ważnym elementem wychowania: ana- lizowania sensu pojęć, myślenie analityczne nie schematyczne o sytuacji swojej, jak i ucznia.

Redakcja: — Następnym problem, jaki chcieli- byśmy rozważyć, dotyczy zakresu i celu kształ- cenia. Chodzi o programy nauczania, ale nie tylko. Co my powinniśmy dziś i jutro oferować uczniom w systemie edukacji? Czy to na pewno ma być kształcenie na poziomie minimum wie- dzy, które przygotowuje do jakiegoś dawa- nia sobie rady w życiu, czy raczej edukowanie z myślą o doskonaleniu, równaniu do poziomu społeczeństw najlepiej dziś wykształconych? Dylemat między modelem japońskim zdyscypl- nowanym a amerykańskim — „na luzie”?

Anna Radziwiłł: — Na szczęście mamy jesz- cze z czego „spadać”. Oczywiście ten ruch musi- być kontrolowany, byśmy schodząc z piętra

Jan Zaclura: — Proponuję byśmy do tej dys- kusji nie wprowadzali jednak elementu prag- matyki, bo trzeba by zmienić w ogóle kierunek naszej rozmowy...



Julian Radziewicz: — Skoro jesteśmy przy postulatcie zmiany wnętrza szkoły, to podkreśl- libym jednak konieczność energiczniejszych działań. Bo zauważcie państwo, że przecież cokolwiek by powiedzieć, to wychowanie oby- watełskie nie odbywa się podczas 45-minutowej lekcji. Dziecko styka się ze szkołą jako pierwszą w jego życiu instytucją, w której tkwi przez ileś lat. I to, jak ona działa, jest od początku do końca nauką wychowania obywatelskiego: z funkcja- mi, zadaniami, odpowiedzialnością, oceną, kont- rolą, współuczestnictwem, albo postuszeństw- em. I to wewnątrz instytucji jest ogromnie waż- nym czynnikiem edukacji. Ale i na tym polu można dziś znaleźć sporo optymistycznych przykładów: ja też znam szkoły lubiane przez dzieci i nauczycieli.

Jednak proszę państwa, my nie możemy w tej rozmowie wciąż dążyć do znalezienia jakiegoś lekarstwa na wszystkie szkolne bolączki. Takie- go nie ma. Ja sądzę, że to leczenie musi potrwać co najmniej jedno pokolenie, bo mamy do czynienia z procesem społecznym.

Redakcja: — Ponowimy jednak nasze pytanie o cele edukacji i jej kierunku. Czy to, co czynimy dziś w szkole wypełnia na przykład postulat prof. Suchodolskiego, który cele edukacji ujmo- wał tak: rozumieć świat — sterować sobą.

A wydaje się, że przygotowanie do „sterowania sobą” jest dziś, gdy tak bardzo nie czujemy się odpowiedzialni za swój los, szczególnie potrze- bne...

Anna Radziwiłł: — Ja bym się bała mówić, że w roku 1980 to są takie cele, a w r. 1992 inne, a za dwieście lat to powinno być pewnie właśnie coś odwrotnego. Ja myślę, że cele i sens edukacji zawsze są takie same, a inne są co najwyżej formy, do nich prowadzące. Ale myślę, że także jest ważne powiązanie tego, co my w szkołach robimy z tym, co nazywałabym klimatem społecz- nym danego czasu. Dużo się mówi na przykład teraz o przedsiębiorczości, sukcesie. I teraz zadaniem szkoły staje się sublimować to, co jest w sposób naturalny żywe w społeczeństwie. Jest dążenie do wprowadzenia wzoru indywidual- nego sukcesu, kariery, to my w szkole zróbmy coś z tym, „umoralnijmy”, ale nie zwalczajmy. **Redakcja:** — Lecz czy to nie jest dokładnie to samo, przed czym się pani przed chwilą za- strzegła?

Anna Radziwiłł: — Nie, bo to ma być tylko wmontowanie czegoś do systemu wartości, któ-

regdy. Równania co najdłuższych nie zapewnią zatem programy czy podreżniki, które nigdy do końca nie przesądzą o jakości edukacji; może to jednak zapewnić dobry nauczyciel. To nauczyciel powinien stałe mieć świadomość, co oferuje swym uczniom i co oni od niego „kupią”. Używając języka profesora Tadeusza Tomasz- ewskiego — jaki ślad po sobie zostawi w syste- mie wartości kształtującego się człowieka. Czy będą to ślady rzeźbiące czy rany.

Redakcja: — A dziś są to rany?

Julian Radziewicz: — Oczywiście — i często — a sprawią to cały system kontroli i oceny. Przecież co godzina przez pierwszy kwadrans lekcji cała klasa umiera ze strachu, że będzie pytana. I tak jest codziennie przez kilkanaście lat życia...

Jan Zaclura: — Proszę państwa, nie wpadaj- my w skrajności. Naprawdę nie jest tak, że szkoła to jedynie kiepski teatr, gdzie wszyscy grają rolę, że są dzieci jedynie maltretowane, że to skamielina. Ja znam szkoły, w których kipi wręcz od nauczycielskiej twórczości, między dorosłymi i dziećmi panują przyjacielskie wręcz stosunki, a sposób sprawdzania wiedzy nie ma nic wspólnego ze stresem. Ale powiedzmy szczerze — szkoła nie może być tak zupełnie bezstresowa choćby dlatego, że wymagania trzeba stawiać. Także poprzez oceny, które nie muszą być tylko stresujące, a mogą być motywujące, rozwijające, itp.

Wracając zaś do głównego pytania tej części naszej rozmowy, to uważam, że polska szkoła powinna mieć własny model. Stać jest nas na uniknięcie błędów szkoły japońskiej, jak i ame- rykańskiej, a poprawiać to musimy nasze włas- ne błędy.

W odróżnieniu od państwa uważam, że w ob- cinaniu czasu nauki doszliśmy do granicy. Chy- ba że zerwiemy z dziewiętnastowieczną struk- turą przedmiotową, jaką mamy obecnie. Bo na razie obcinamy godziny i treści przedmiotów. Tu, w śródmieściu stolicy, mamy już szkoły, które wychowanie estetyczne realizują tylko w ciągu pół godziny tygodniowo.

Natomiast zupełnie czym innym jest czas przebywania dziecka w szkole, to znaczy stwo- rzenia mu możliwości rozwijania zainteresowa- ń, itp. Jestem za tym, aby już przestać oszczędzać na programach, a próbować od- budowywać to okrojone do minimum wnętrze szkoły. A przypomnę, że wszystkie cięcia były robione z troską o dziecko, obawą przed prze- ciążeniem nauką, encyklopedyzmem.

Anna Radziwiłł: — Nie, to nie tak. Obcinanie treści, rzeczywiście robi się w imię obaw przed encyklopedyzmem, natomiast szereg zmian, to kwestia zarówno finansów, jak i pragmatyki nauczycielskiej. Nie czujemy się....

Jan Zaclura: — Proponuję byśmy do tej dys- kusji nie wprowadzali jednak elementu prag- matyki, bo trzeba by zmienić w ogóle kierunek naszej rozmowy...

Julian Radziewicz: — Skoro jesteśmy przy postulatcie zmiany wnętrza szkoły, to podkreśl- libym jednak konieczność energiczniejszych działań. Bo zauważcie państwo, że przecież cokolwiek by powiedzieć, to wychowanie oby- watełskie nie odbywa się podczas 45-minutowej lekcji. Dziecko styka się ze szkołą jako pierwszą w jego życiu instytucją, w której tkwi przez ileś lat. I to, jak ona działa, jest od początku do końca nauką wychowania obywatelskiego: z funkcja- mi, zadaniami, odpowiedzialnością, oceną, kont- rolą, współuczestnictwem, albo postuszeństw- em. I to wewnątrz instytucji jest ogromnie waż- nym czynnikiem edukacji. Ale i na tym polu można dziś znaleźć sporo optymistycznych przykładów: ja też znam szkoły lubiane przez dzieci i nauczycieli.

Jednak proszę państwa, my nie możemy w tej rozmowie wciąż dążyć do znalezienia jakiegoś lekarstwa na wszystkie szkolne bolączki. Takie- go nie ma. Ja sądzę, że to leczenie musi potrwać co najmniej jedno pokolenie, bo mamy do czynienia z procesem społecznym.

Redakcja: — Ponowimy jednak nasze pytanie o cele edukacji i jej kierunku. Czy to, co czynimy dziś w szkole wypełnia na przykład postulat prof. Suchodolskiego, który cele edukacji ujmo- wał tak: rozumieć świat — sterować sobą. A wydaje się, że przygotowanie do „sterowania sobą” jest dziś, gdy tak bardzo nie czujemy się odpowiedzialni za swój los, szczególnie potrze- bne...

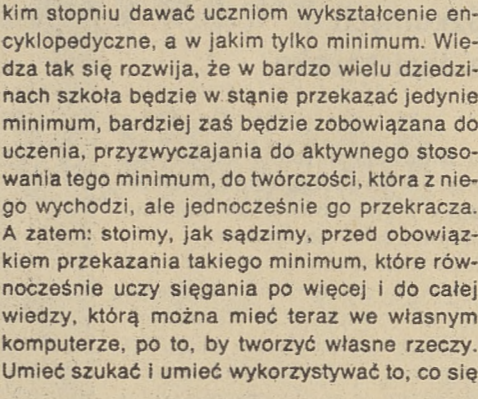
Anna Radziwiłł: — Ja bym się bała mówić, że w roku 1980 to są takie cele, a w r. 1992 inne, a za dwieście lat to powinno być pewnie właśnie coś odwrotnego. Ja myślę, że cele i sens edukacji zawsze są takie same, a inne są co najwyżej formy, do nich prowadzące. Ale myślę, że także jest ważne powiązanie tego, co my w szkołach robimy z tym, co nazywałabym klimatem społecz- nym danego czasu. Dużo się mówi na przykład teraz o przedsiębiorczości, sukcesie. I teraz zadaniem szkoły staje się sublimować to, co jest w sposób naturalny żywe w społeczeństwie. Jest dążenie do wprowadzenia wzoru indywidual- nego sukcesu, kariery, to my w szkole zróbmy coś z tym, „umoralnijmy”, ale nie zwalczajmy.

Redakcja: — Lecz czy to nie jest dokładnie to samo, przed czym się pani przed chwilą za- strzegła?

Anna Radziwiłł: — Nie, bo to ma być tylko wmontowanie czegoś do systemu wartości, któ- re nadal zostają te same. W ogóle, to one są te same od starożytnego Egiptu aż po dziś. A każde pokolenie po prostu coś do nich tylko dorzuca. I o to chodzi właśnie.

Jan Zaclura: — A więc po prostu modyfikuj- my też zasady, która w pedagogice zawsze była naczelną: każde dziecko ma prawo do sukcesu, każde jest w stanie go osiągnąć, a problem jedynie w tym, by otrzymało taką szansę.

Andrzej Grzegorzcyk: — Przymoimnane przez kogoś z redakcji hasło Suchodolskiego „zro- zumieć świat, sterować sobą” można przyjąć za punkt wyjścia. Tylko ono jest niesychnące ogólni- kowe. Wymaga rozwinięcia. Państwo (redak- cja) poruszyliście bardzo ważną kwestię: w ja- kim stopniu dawać uczniom wykształcenie en- cyklopedyczne, a w jakim tylko minimum. Wie- dzą tak się rozwija, że w bardzo wielu dziedzi- nach szkoła będzie w stanie przekazać jedynie minimum, bardziej zaś będzie zobowiązana do uczenia, przyzwyczajania do aktywnego stosowa- nia tego minimum, do twórczości, która z nie- go wychodzi, ale jednocześnie go przekracza. A zatem: stoimy, jak sądzimy, przed obowiąz- kiem przekazania takiego minimum, które rów- nocześnie uczy sięgnięcia po więcej i do całej wiedzy, którą można mieć teraz we własnym komputerze, po to, by tworzyć własne rzeczy. Umieć szukać i umieć wykorzystywać to, co się



znalazło. To jest właśnie nie encyklopedyczne wychowanie, lecz wychowanie do twórczości i do poznawania świata i stosowania wiedzy.

Ale proszę mi tutaj pozwolić na pewien zwis- schenruf... Otóż jeśli mamy przygotowanie do aktywności, twórczości, to powiększanie nauczycielom pensum szalenie to utrudni. Dlatego, że nie da się uczyć aktywności bez indywidual- nego podejścia do dziecka. Nauczyciel musi mieć możliwość spojrzenia, iż jeden uczeń roz- pęczał takie zadanie, inny z kolei kończy pracę innego typu, bo akurat w tym wyraża się jego twórczość. W toku takiej pracy pensum nauczy- ciela samo się wręcz zwiększa.

Anna Radziwiłł: — Zapewniam pana profeso- rze, że małe pensum za półtora miliona oznacza bardzo duże pensum dodatkowej pracy zarob- kowej po południu i form znajdowania źródeł utrzymania rodziny.

Andrzej Grzegorzcyk: — Jestem pewien, że jeśli nauczyciel otrzyma większe pensum, to on je będzie traktował bardziej szablonowo i mniej włoży wysiłku w pracę indywidualną z uczniem. Widzę w wychowaniu, kierowaniu sobą jed- nakże pewne inne wymiary. Padł tu przykład Japończyków i ich samodyscypliny. To umiejęt- ność kierowania sobą w sensie zmuszenia się do wysiłku, by osiągnąć założony przez siebie cel. Ale jest i kolejny wymiar owego kierowania sobą — wymiar uczciwości, aby twórczość była w ramach pewnego dobra społecznego.

Redakcja: — No i weszliśmy w sprzeczność z indywidualizmem. Ale nadal nie odpowiedzie- liśmy sobie na pytanie, czy zwalczając encyk- lopedyzm nie popadamy w skrajność — mini- mum prowadzące do niedouczenia.

Anna Radziwiłł: — Skoro już powołujemy się na Japonię, to miejmy świadomość, że w szkole japońskiej chwali się i nagradza za to, że uczeń potrafi naśladować kolegę i odwzorować ideal- nie jakiś przykład, że wszyscy daną czynność wykonali tak samo. Nie porównywałabym więc naszego modelu z ich. To jest w ogóle inna kultura, nie gorsza, czy lepsza, ale po prostu inna.

Ale co do minimum... to jest między nami istotne nieporozumienie. Minimum programo- we nie oznacza, że wszyscy mają umieć mało, ale że tylko tyle, a tyle jest wspólne. Tyle właśnie każdy wiedzieć powinien, ale jako tylko część swojej wiedzy, druga część jest także obowiąż- kowa, ale jej treść może już być różna, do- stosowana do indywidualnych potrzeb i moż- liwości.

Redakcja: — My widzimy w tym jednak bar- dziej zagrożenia, pani doktor dostrzega raczej dobre perspektywy.

Anna Radziwiłł: — Ja tak próbuję rozumieć całą ideę minimum. Żeby przy każdym dziecku liczył się, obrazowo mówiąc, jego „wzrost”, a nie konieczność dorównywania poprzeczce.

Wtedy minimum jest wspólne dla każdego, nie- zależnie od jego indywidualności. Reszta, to co ponad minimum, zależy od uczenia, nauczyciela i szkoły. Tu jest wiele poziomów indywidual- ności i chodzi o to, by każdy miał szansę realizować się. W tym widzę przyszłość i te wyzwania, jak to żeśmy sobie na początku określili.

Jan Zaclura: — Ale póki co zrodzone anonimo- wano w sierpniu tzw. tymczasowe minima dotar- ry do szkół w okolicy października i nie dają szans na owe realizacje. Tworzenie zaś mini- mów związanych z reformą nadal ogarnia za- mknięty krąg — co nie powoduje u twórców reformy złego samopoczucia. Więc praktyka skrzeczy.

Redakcja: — Stawiamy zatem pytanie czy panująca dziś w szkołach sytuacja, czy to na- stąpi, jakie są widoczne wśród nauczycieli, sprzyjają podjęciu owych wyzwań.

Anna Radziwiłł: — Posługuję się tu słowami bardzo dobrej polonistki naszego liceum. Ona mówi tak: szkoła, w której nauczyciel czuje się dobrze będzie szkołą, w której dobrze czuje się uczeń. I teraz, czy nauczyciel dobrze się czuje w szkole? Ja myślę, że wbrew pozorom duża liczba nauczycieli czuje się dobrze. Wytworzyła już sobie nowe skrupki i błotwiwe, bariery ochronne dające poczucie wolności, niezależ- ności i dystansu. Takie skrupki obronne są każdemu potrzebne. A jednocześnie nauczyciele wiedzą, że teraz naprawdę nie przyjdzie wizytator i nie powie: pani nie zrealizowała punktu 23, pkt b, wobec czego jest pani do niczego. Wizytator bowiem przyjdzie teraz obejr- zając jaki obraz myśly namalowali, a nie jakim pędzłem. I to jest naprawdę bardzo duża róż- nica. Im więcej będzie takich właśnie nauczycie- li, z poczuciem wolności, im więcej takich wizy- tatorów, tym lepiej szkoła odpowie na te wy- zwania. Jestem tego pewna.

Redakcja: — Wróćmy jeszcze do wzorów sukcesu, to problem pedagogiczny, edukacyjny bardzo ważny. Nasze wzory, literackie, ale nie tylko, to albo wolny najmita harujący w pocie czoła bez sukcesu, albo martyrologia. Na suk- ces nie ma miejsca. A jednocześnie już dzieci w przedszkolnu widzą, że ten bywa lepszy, który silniej rozpycha się lokciami. Wartości zdepre- cjonowały się, nowe rodzą się w atmosferze albo silnej nieufności, albo stawiania nowych boż- ków.

Anna Radziwiłł: — A więc — zrehabilitować słowo sukces, kariera, znaleźć ich pozytywne znaczenia. To co powiem możebie państwo odebrać jako sceptycyzm, ale identyczne roz- mowy prowadzę od 35 lat. Ileż to razy gromadzi- liśmy się i opowiadali sobie — jak to niedobre, iż pewne wartości się deprecjonują! Ja mam wrażenie, że tak było zawsze i wnioski bywały identyczne. Czy to źle? Nie, mnie się wydaje, że w tym tkwi nawet pewien optymizm...

Julian Radziewicz: — To, że my wciąż nad tym dyskutujemy, dowodzi, jak silnie szkoła była i jest uwikłana w zmiany klimatów i zapo- trzebowań politycznych. Lecz czy my dziś nie wpadamy w ten sam stereotyp? Bo ja sądzę, że nie chodzi o ogdorny „wzorzec sukcesu”, ale wzorczec pomagania człowiekowi, żeby osiągnął sukces na miarę swych możliwości. Nie przesąd- zając przy tym z góry, że gdy ktoś na przykład zostanie właścicielem butiku, to lepiej — niż by został dobrym nauczycielem. Pomóc w budowa- niu siebie i niech każdy sobie rośnie dowolnie!

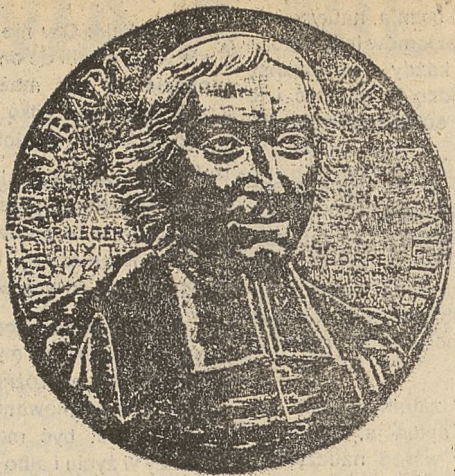
Andrzej Grzegorzcyk: — Proszę państwa, ja boję się słowa sukces, bo potocznie kojarzy się on z indywidualną zdobyczą, a zdobywanie pewnych wartości tylko dla siebie, to co innego, niż zdobywanie ich dla innych. To pierwsze nie może, według mnie, zastąpić służby dla drugie- go człowieka.

Anna Radziwiłł: — Ależ pan niepotrzebnie przeciwstawia te dwie kwestie. Cała rzecz w tym, iż być może tego nie trzeba przeciw- stawiać. A należy traktować łącznie, a nie równoległe. Bo równoległe nigdy się nie spotykają, a nam chyba chodzi, by się jednak zeszyły.

Andrzej Grzegorzcyk: — Jednakże, jak sądzę, musi być osobna świadomość jednego i drugie- go, a jeśli nie osobna to większa świadomość służby, niż własnego zysku. To niewątpliwie jest coś ważniejszego.

Anna Radziwiłł: — A więc sukces to słowo pode

JAN
CHYZCICIEL
DE LA
SALLE
PATRONEM
NAUCZY-
CIELI



WAKACYJNA ZAGADKA CZYLI INTELEKTUALNE INSPIRACJE

„Ciekawą, potrzebną i ze wszech miar pożyteczną zagadkę zaproponował „Głos Nauczycielski” swoim Czytelnikom” — napisał jeden z uczestników konkursu. Inny zauważył: „Cieszy fakt, że redakcja wystąpiła z pożyteczną inicjatywą poznania i popularyzacji sylwetki patrona nauczycieli...”

Zainteresowanie wakacyjnym konkursem, podsuniętym „Głosowi” przez niezmiernie, zawsze pełnego nowych pomysłów Marka Tomczyńskiego — przeszło nasze oczekiwania. Odpowiedzi płynęły z całego kraju. Z Garwolina i Wrocławia, z Lipina i Poznania, ze Starachowic, Łomży, Bolkowa, Łęka Dukielskich... Przesyłał je nie tylko indywidualni nauczyciele (choć oni przede wszystkim), ale także grona nauczycielskie najróżniejszych szkół.

Czytelników najwyraźniej zainteresowało nasze wakacyjne pytanie. I, nie szczędząc trudu ni zachodu, z wyraźną pasją i uporem szukali nań odpowiedzi.

Dla niektórych była to interesująca, wciągająca coraz bardziej — po pierwszych kłopotach i niepowodzeniach — zabawa intelektualna. Trwając więc wędrowki po bibliotekach, zadaje się pytania najróżniejszym osobom, zwłaszcza duchownym, które — zdaniem autorów odpowiedzi — powinny być ekspertami w tej dziedzinie. Wykorzystuje się najróżniejsze źródła: encyklopedie, słowniki, biografie, żywoty świętych... Z jaką odpowiedzialnością i powagą traktowali niektórzy uczestnicy udział w konkursie, niech świadczy fakt, że jeden z nich załączył ponad 20 różnych pozycji bibliograficznych!

A poszukiwania nie były łatwe. Tak z uwagi na fakt, że nasze pytanie nie było sformułowane zbyt precyzyjnie, jak i ze względu na to, że brak odpowiednich źródeł na podjęty przez nas temat. Mimo to — większość autorów udzieliła właściwej odpowiedzi — pisała o Janie Chyzciciele de La Salle. Słusznie jednak niektórzy zauważali, że nie znając jego prac (a żadna z nich nie była tłumaczona na język polski) i opierając się tylko na opracowaniach innych, trudno oceniać jego system pedagogiczny i zasługi dla szkolnictwa i wychowania. Zwracano też uwagę, że różne źródła podawały różne daty dotyczące tej postaci, np. daty śmierci. „Być może, uda się redakcji dotrzeć do wiarygodnych źródeł w celu wyeliminowania tych podstawowych niezgodności” — dopingowano nas.

Tak więc (jak już podawaliśmy w 44. nr. „Głosu”, drukując nazwiska zwycięzców konkursu) większość uczestników pisała o urodzonym w 1648 roku we Francji, Janie Chyzciciele de La Salle, założycielu szkół ludowych, szkół dla nauczycieli i Zakonu Braci Szkolnych, którego papież Pius XII ogłosił 15 maja 1950 roku patronem nauczycieli.

Ale niektórzy autorzy wysuwali inne sylwetki i postaci: Grzegorza I Wielkiego, Tomasz z Akwinu, Jana Bosko, Józefa Kalasantego... Jeden z autorów, powołując się na Kolberga i Lindego, wymienia m.in. Katarzynę Aleksandryjską. Inny — Jana Kantego — profesora wydziału filozoficznego Wszechnicy Krakowskiej, uzasadniając to następująco: „Wprawdzie jest jeszcze dwu innych kandydatów do tego miana, ale ponieważ są obcokrajowcami i czasowo młodszy od Mistrza z Kęt, w odpowiedzi na „zagadkę wakacyjną” tylko jego sylwetka w Polsce może być brana pod uwagę”.

Jeszcze inny uczestnik, chwalać nas wielce za tak ciekawą inicjatywę, patronem nauczycieli mianuje Jana Władysława Dawida — autora głośnej (nie tylko) onegdaj pracy „O duszy nauczycielstwa” dowodząc jednocześnie, że i dziś podstawowe idee zawarte w tej książeczce są niezwykle aktualne.

Ta różnorodność spojrzeń, wyraźny pluralizm ujawniany w odpowiedziach na nasz konkurs stanowi jego szczególny, dodatkowy walor. I dowodzi zarazem, jak bardzo środowisko nauczycielskie odczuwa potrzebę wzorów i autorytetów, do których mogłoby się odwoływać w swej codziennej pracy, które pomagałyby realizować jak najlepiej i najpełniej różnorodne zadania edukacyjne.

Podkreślając szczególnie walory wielu konkursowych prac, możemy jednakże nie zauważyć zarazem, że spora część autorów trochę nas zawiodła, przepisała bowiem po prostu inextenso z dostępnych u nas publikacji — całe obszernie fragmenty i przysłała jako swoje opracowania. Nic więc dziwnego, że część prac była bliźniaczo do siebie podobna... Cóż, bardzo różnie pojmowane jest korzystanie ze źródeł...

W sumie jednak akcentujemy to jeszcze raz — nasz wakacyjny konkurs-zagadka okazał się nie tylko interesujący, ale i inspirujący do własnych poszukiwań intelektualnych.

Zgodnie z zapowiedzią — drukujemy (obok) dwie nagrodzone prace oraz rozmowę z bratem Stanisławem Rybickim, charakterystykę pedagogiki lasaliańskiej pióra dr. hab. Ireny Szybiak oraz dalsze nagrodzone prace opublikujemy w jednym z najbliższych numerów.

DZIELIMY SIĘ CHARYZMATEM

Z bratem STANISŁAWEM RYBICKIM
o przeszłości i teraźniejszości
Zakonu Braci Szkolnych
rozmawia Lidia Jastrzębska

— Historia Zakonu Braci Szkolnych w Polsce nie jest powszechnie znana, tak jak pedagogika lasaliańska. Proszę zatem brata o krótką opowieść o Zakonie w Polsce i o Zgromadzeniu Braci na świecie.

— Zgromadzenie Braci Szkolnych rzeczywiście jest mało znane w Polsce, mimo że działamy na tym terenie od roku 1903. Wówczas arcybiskup Józef Wilczewski, profesor uniwersytetu im. Jana Kazimierza, jako arcybiskup Lwowa zaprzagnął mieć to Zgromadzenie w swojej metropolii. Dowiedział się, że polscy bracia szkolni pochodzący ze Śląska i Pomorza są w Wiedniu. I po korespondencji z przełożonymi wprowadził braci szkolnych do Lwowa. Tamtejsza Szkoła Podstawowa przy ul. Lelewela 9 funkcjonowała aż do II wojny światowej. To był początek. Po pierwszej wojnie, w 1922 r. rozpoczęli bracia werbowanie kandydatów i otworzyli nowicjat dla swoich zadań pedagogicznych — w Częstochowie. Następną placówką, która także istniała aż do II wojny światowej, było Zgromadzenie w Listkowie. Listków znany był jako wzorowa wieś, którą zorganizował prałat Wacław Bliźniński, on też wprowadził tam szkolnictwo i zakłady dla sierot z Warszawy. Także tuż przed II wojną światową powstała nasza szkoła w Częstochowie, gdzie stawałem pierwsze kroki nauczycielskie, począwszy od 1939 r.

Najbardziej chlubimy się jednak naszą działalnością w czasie okupacji hitlerowskiej. Niemcy tolerowali nasz Dom Dziecka, który istniał pod auspicjami Rady Głównej Osiedleńczej. Nam chodziło głównie o to, żeby dzieciom skazańców, sierotom wojennym stworzyć godziwe warunki do wychowania. I pod pretekstem tego domu, który był pilnowany przez władze niemieckie prowadziliśmy tajne nauczanie. Było to ryzykowne, ale miało powodzenie. Gdzie indziej prowadzono tajne komplety, myśmy prowadzili formalną klasę. Uczyszczali na te lekcje nasi wychowankowie, ale było też sporo chłopców dochodzących z miasta. To nie tylko było tajne nauczanie, ale też — niby drobniaczek, a co ogromnie ważne — „konspiracyjna” biblioteka patriotyczna. Robiliśmy imprezy tuż pod okiem Niemców — Konstytucja 3 Maja, Powstanie Listopadowe... do dziś mógłbym przytoczyć wiersze wówczas recytowane. Prowadziliśmy również szkolenie Szarych Szeregów.

Kontynuacją tego cośmy czynili tam, była nasza szkoła podstawowa i średnia w Dusznikach Zdroju pod nazwą Orleń. I ten okres najbardziej lubię wspominać. To było coś wyjątkowego. Działaliśmy tam zaledwie cztery lata od lipca 1945 do marca 1949 r. Ale gdyby się przyjrzeć tej placówce, to dziwi, że można było tak wiele uczynić w tak krótkim czasie. Brat Gabriel Tischner, ten który był jednym z pionierów naszego działania we Lwowie, był pomysłodawcą nazwy Orleń. Mielśmy wychowanków sieroty z głębokiej Azji, trzeba było ich przywrócić życiu, normalności. To się udawało, bardzo pomagała w tym natura, ale przede wszystkim imprezy artystyczne, patriotyczne, wypożyczanie książek, chóry. Po całym powiecie kłodzkim jeździliśmy z naszymi przedstawieniami. Wystarczyło rozlepić plakaty ze występują Orleń, a mieliśmy przepelnione sale. Raz tylko nie udało się nam zapełnić całej sali, gdy po raz pierwszy grano pierwszy film powojenny „Zakazane piosenki”.

Powiem coś, o czym mało kto w Polsce wie. Byliśmy jednym z pierwszych współinicjatorów i współorganizatorów Festiwalu Chopinowskich w Dusznikach. Mnie przypadł zaszczyt zorganizowania przedstawienia o młodym Chopinie, a nasi chłopcy odkryli pomnik Chopina w krzakach. Dlatego pani Racewicz, pierwsza pianistka, która występowała na festiwalu, zaproponowała, ażeby pierwsze koncerty były na rzecz naszego Domu Dziecka. Aż przyszedł straszny rok 1949. Dano nam zaledwie dwa tygodnie czasu, żeby opuścić nasz teren pracy wychowawczej.

Co dalej? Skoro już nam zamknięto szkołę w Dusznikach i Częstochowie, początkowo nie wiedzieliśmy co dalej robić. Ale pracy nigdy nam nie brakowało. Ponieważ jesteśmy braćmi, nie kapłanami, nigdy nie porzuciliśmy naszych funkcji pedagogicznych. Zaczęliśmy organizować kolonie, działać jako katecheci, uczyć w niższym Seminarium Duchownym. Pótem przyszedł rok sprzyjający — otwarcie nowicjatu w 1953 r. dalej 1964 rok, kiedy przypadł mi zaszczyt prowincjonalistwa w Zakonie. Trzeba było przede wszystkim szukać kandydatów i od 1967 r. zaczęli do nas przychodzić. Gdy zaczęliśmy prowincjonat było nas dziesięciu. Dzisiaj jest 114 braci i mamy 18 placówek. Obecnie nasi bracia są przede wszystkim katechetami w szkołach państwowych. Prowadzimy cztery zakłady dla dzieci mniej i więcej upośledzonych — w Częstochowie. Zawadziłem na Opolszczyźnie i w Przystocku w woj. śląskim. To jest nasze szczególne świadectwo, że mamy zaszczyt oddać serce i kwalifikacje dla tych ludzi. Z bardzo wielką gorliwością bracia prowadzą te



zakłady. Od niedawna wychylił się poza Polskę, bracia pracują jako misjonarze w Kamerunie, w Bratysławie. Od września zaangażowaliśmy się w Winnicy na Ukrainie, a cichutko marzymy, żeby wrócić do Lwowa.

Zgromadzenie działa w 82 krajach na całym świecie. We Francji, Hiszpanii i Stanach Zjednoczonych liczy po ponad tysiąc braci.

— Jakie wartości naczelné, pedagogiczne sobie stawiacie?

— To co wyróżnia nasz system pedagogiczny, który się wywodzi z charyzmatu świętego Jana de La Salle, to jest po pierwsze dynamizm — dostosowanie się do naszych potrzeb co do czasu i specyficznych potrzeb każdego kraju. Właśnie inkulturacja charakteryzuje nasz system pedagogiczny, gdziekolwiek się bracia znajdują. I dlatego mamy z każdej rasy członków w naszym Zgromadzeniu, aby służyć na różny sposób. Ponieważ jest taki poważny kryzys powołaniowy, chcemy żeby nauczyciele świeccy, których jest ogromna większość w naszych szkołach, żyli charyzmatem świętego Jana de La Salle i to się udaje. Co znaczy — preferowanie ubogich, dowartościowywanie upośledzonych, otwarcie się ku wszystkim potrzebom. Bo to, co charakteryzowało Jana de La Salle i nadal charakteryzuje Zgromadzenie to jest zintegrowanie formacji religijnej z formacją ogólnoludzką. Nasz patron nie chciał oddzielać katechizacji od ogólnego kształcenia w szkole. Chciał zintegrować, i to czynimy — formację religijną z formacją ogólnohumanistyczną i zawodową. Chlubimy się też naszymi szkołami i uniwersytetami na świecie, ale najbardziej — naszym zaangażowaniem w krajach Trzeciego Świata. Bracia szkolni wyróżniają się spośród wszystkich zgromadzeń świata tym, że mają tyle placówek w krajach islamu. Wynika to z tego, że potrafiliśmy zgromadzić dzieci różnych ras, religii, języka, kultur — razem do współdziałania, właśnie dzięki zasadzie dynamizmu.

— Mnie najbardziej w pedagogice lasaliańskiej uderzyło to, że jest tak szalenie współczesna, wprost wyprzedza praktykę naszych szkół. I trudno uwierzyć, że ta praktyka szkolna z siedemnastego wieku przetrwała tyle wieków, żeby ciągle być wzorem dla naszego szkolnictwa. Czy wy cały czas stosujecie te same zasady?

— Znakomicie to pani ujęła. Zwłaszcza jeżeli chodzi o wspólnotowość. Wszystkie religijne zgromadzenia akcentują znaczenie wspólnotowości, wszystkie systemy pedagogiczne dążą do jakiejś wspólnotowości, ale w naszym systemie jest szczególnie charakterystyczna. Jest to wspólnotowość nauczycieli, uczniów, rodziców, a z kolei te trzy tworzą wzajemne oddziaływanie. Bo to, co cechuje braci szkolnych, to dopasowywanie się do każdego miejsca i czasu, czyli adaptowanie charyzmatu pierwotnego do nowych potrzeb — to co teraz głosi Jan, Paweł II w nowej katechizacji.

MOJE SPOTKANIA Z PATRONEM

Moje pierwsze spotkanie z patronem nauczycieli zawdzięczałam braciom szkolnym katechizującym dzieci szkół myszkowskich. 8 kwietnia ub. roku zaprosili oni nauczycieli pracujących na terenie Parafii św. Stanisława B.M. w Myszkowie na Mszę św. i uroczyste spotkanie zorganizowane ku czci założyciela ich zgromadzenia — św. Jana de La Salle. Wyniosłam z tej uroczystości nieco informacji o życiu i zastugach świętego pedagoga, ale przede wszystkim obraz człowieka o dobrotliwym uśmiechu i ujmującej powierzchowności. W sierpniu tegoż roku w Bazylice św. Piotra w Rzymie podziwiałam piękną rzeźbę dłuta Aurellego. Artysta ukazał jego wymowny gest — wzniesioną ręką wskazuje dzieciom drogę do nieba.

Potem było muzeum i zgromadzone w nim pamiątki oraz kościół ku jego czci zbudowany przy Via Aurelia, gdzie od roku 1937 mieści się zarząd zgromadzenia Braci Szkół Chrześcijańskich. W prezbiterium tej świątyni, surowej i monumentalnej, jak życie i dzieło świętego pedagoga, umieszczono relikwiarz, tryumfalnie tutaj sprowadzony.

Było to spotkanie, które mnie najbardziej poruszyło. Dotknęłam rękami tego pięknego, oszklonego i bogato zdobionego relikwiarza, gestem tym niejako prosząc o opiekę.

OSOBOWOŚĆ ŚW. JANA DE LA SALLE

Nadal św. Jan de La Salle był jednak dla mnie kimś tajemniczym. Zaczęłam więc szukać o nim informacji, aż objawił mi się jako człowiek o niezwykle ciekawej, silnej i wysublimowanej osobowości. Zaczęłam podziwiać go za to, że żył tak, jak nauczał i było dla mnie oczywiste, że pociągał ludzi do siebie i budził w nich szacunek. Ceniłam jego dobroć i delikatność serca i gest wyzbycia się swego majątku, który rozdał

w latach głodu ubogim dzieciom. Pozbył się też bogatej prebendy kanonika stając się ubogim pośród ubogich. Dowiedziałam się, że był człowiekiem dystyngowanym i dyskretnym, podziwiałam jego realizm, rozwagę i niezwykle wyuczucie odpowiedniego czasu i chwili, aktywność i szybkość działania. Był przy tym pokorny i ascetyczny. Zawsze dobierał sobie światłych doradców, nie zrażał się przeciwnościami, był opanowany, chętnie wysłuchiwał innych i udzielał im dobrych rad.

DOKONANIA PEDAGOGICZNE

Intrygowało mnie jednak nadal, że podręczniki pedagogiczne nie wspominały pedagoga, którego papież Jan Paweł II nazwał „geniuszem edukacji”. I znów poszukiwania, dociekania, porównania, które doprowadziły mnie do wniosku, że wszystko czego dokonał nadal doskonale odpowiada potrzebom obecnej epoki. Mam dla niego ogromny podziw za to, że zajął się nauczaniem ubogich dzieci i organizował dla nich bezpłatne szkoły. Powołanie nauczycielskie uważał za tak wyjątkowe, czcigodne i doniosłe, iż nie chciał by zakonnicy, których stał się ojcem przyjmowali godność kapłańską chociaż sam był księdzem, a święcenia kapłańskie przyjął dwa lata przed uzyskaniem zaszczytnego tytułu doktora teologii. Zakładał szkoły pedagogiczne, mające na celu przygotowanie osób świeckich do pracy w szkołach wiejskich. Nauczyciele wychowani przez ks. de La Salle byli najsławniejsi w królestwie. Braci przygotowywał do pracy w różnego rodzaju szkołach i na różnych terenach. Stworzył dla chłopców pracujących szkołę, w której uczyli się czytania, pisania, liczenia, religii oraz nabywali wiedzę potrzebną w pracy zawodowej. Nazwana została Chrześcijańską Akademią i była prototypem obecnych

szkół zawodowych technicznych. Zapoczątkowała ona niejako w historii nauczanie pozaszkolne. Organizował również domy dla młodocianych przestępców.

Do konkretnej potrzeby dostosował programy pedagogiczne, system wychowania w internacie, plan kształcenia zawodowego bądź humanistycznego. Uprościł naukę czytania, pisania, liczenia, ortografii uczył przez przepisywanie. Był pionierem nauczania w języku ojczystym i była to najśmielsza innowacja jaką wprowadził w życie.

W szkołach uczono systemem zbiorowym, jak proponował Jan Amos Komeński. System ten bracia szkolni utrwaliłi w praktyce. Uczniowie byli podzieleni na grupy. Klasyfikowano ich biorąc pod uwagę różnice wieku, inteligencji, posiadanej już wiedzy. Starano się stworzyć zespoły jednolite, homogeniczne. Uczeń, który osiągnął odpowiednią wiedzę mógł być proponowany na wyższy stopień, nie czekając końca roku szkolnego. W tym celu organizowano co miesiąc odpowiednie egzaminy. Nauczyciele zobowiązani byli do prowadzenia arkuszy z ocenami i charakterystykami uczniów. Starszych z konieczności promowano, nawet gdy ich postępy były słabsze. Starano się jednak by uzupełniali swoje wykształcenie w stopniu najpotrzebniejszym.

System ten uwzględniał w dużej mierze nauczanie zindywidualizowane, liczył się z cechami indywidualnymi wychowanków. Nie był to też system werbalny, co szczególnie uwidaczniało się w prowadzeniu lekcji matematyki. Nauczyciel miał obowiązek upewnić się czy uczeń rozumie zasadę. Kładziono nacisk na aktywną postawę dzieci. Nauczycielom zalecał, by stawiali pytania proste, jasne i najkrótsze. Uczył jak mają rozpoznawać charakter i usposobienia dzieci. Szczegółowo omawiał indywidualne cechy uczniów płochych, krnąbrnych, chwiejnych, upośledzonych, chorych cieleśnie i moralnie itp. podając jednocześnie właściwy sposób podejścia do każdego z nich.

Uczniowie już wówczas tworzyli pewnego rodzaju samorząd. Każdy z nich w zależności od uzdolnienia i potrzeb klasy pełnił jakiś urząd, ucząc się odpowiedzialności za siebie i innych. Szanowana była godność dziecka — stworzenia Bożego. Nauczyciel był tym, który przedłużał we współczesności działanie Jezusa Chrystusa, czyniąc z jego nauki program wyzwolenia, cele wychowania, możliwości przewycięzania zła i ideał osobowości.

Szkoła czyniła wychowanka podmiotem jego własnego rozwoju. Uczeń myślał, szukał, odkrywał, stwarzał, aktywnie uczestnicząc w swoim rozwoju. Wychowanka i nauczyciela łączyła więź komunii i braterstwa. Pedagogika przygotowywała uczniów do zajęcia im należnego miejsca w społeczeństwie. Przyczyniła się do przeobrażenia społeczeństwa przez zachowanie lub odrzucenie niektórych wartości jak np. poszanowanie ubogich. Uczyła raczej solidarności nie kompetencji i konkurencji, zmysłu grupowego niż indywidualnego, który budzi pragnienie posiadania i władzy. Dbała o promocję

ludzkiej sprawiedliwości, godności osobistej, zwłaszcza ubogich, uczyła miłości bliźniego. Jej fundamentem była wiara. Była pedagogiką wyzwalającą. Ogarniała całego człowieka, jego ciało, intelekt, sferę emocjonalną, wartości moralne, społeczne, kościelne i religijne.

Zalecała ćwiczenia i gry wzmacniające człowieka fizycznie, uczyła stosowania reguł logiki, umiejętności, poszukiwania prawdy, rzetelności słów, wstrętu do obłudy i kłamstwa, uczyła dobrych manier i dobrego życia. W swoim systemie wychowawczym akcentował św. Jan de La Salle nagradzanie jako skuteczniejszy środek wychowawczy niż karanie.

Każdy szczegół w szkole był zaplanowany, aby w ten sposób zapobiec błędom, niż je potem karaniem naprawiać. Zabraniane było nazywanie ucznia obraźliwym imieniem, nie wolno było wyolbrzymiać jego błędów, zniechęcać do siebie, karać w gniewie. Nauczyciel winien być dla uczniów wyrozumiały, sprawiedliwy, dbać o dobro każdego ucznia.

W szkołach dawano w nagrodę książki, dewocjonalia, pochwały, ale przede wszystkim stosowne funkcje — urzędy. Prawdziwy pedagog jego zdaniem winien być „stanowczy, by cel osiągnąć, a delikatny w sposobie działania. Niech będzie dobry, gorliwy, cierpliwy, wytrwały, niech nie toleruje wybryków. Ma być poważny ale nie gniewliwy, gdy karze, niech uczniowie wiedzą, że czyni to dla dobra ogółu z konieczności” — napisze w przedmowie do II części rozdziału V w Conduite.

Św. Jan de La Salle napisał wiele podręczników i rozpraw, w których zawarł swoje rady. Krążyły w odpisach wśród braci, nim je wydrukowano. Oto tytuły niektórych z nich: „Prowadzenie szkół chrześcijańskich”, „Reguły ogólne”, „Rozmyślania”, „Podręcznik dobrych manier” i inne.

U KRESU ŻYCIA

Rosła renoma szkół prowadzonych przez braci, były znakomite. Posyłałi do nich swoje dzieci również ludzie zamożni nie bacząc na konwenanse. Bracia nie uznawali przesądów klasowych i społecznych. Uczyli te dzieci również bezpłatnie. Spotkało św. Jana de La Salle wiele przykrości z tego powodu. Życie pełne trudu, poświęcenia i przeciwności wyczerpało jego siły.

Wież o jego agonii przechodziła z ust do ust. Ludzie powtarzali „święty umiera”. Zakończył swoje życie 7 kwietnia 1719 roku w 68 roku życia. Proces beatyfikacyjny zakończono w roku 1888, a kanonizowany został w roku 1900 przez papieża Leona XIII. W 50. rocznicę kanonizacji papież Pius XII przyznając mu oficjalny tytuł patrona nauczycielstwa uzasadnił ten akt następująco: „Jan Chrzciciel de La Salle sam wychowywał i nadal wychowuje przez Zgromadzenie, które go jest założycielem, dzieci według najlepszych zasad i metod”. Nie miał proroczych snów, objawień, stygmatów. Był pokornym sługą ubogich, wyniesionym na ołtarze by stać się nam wzorem.

Każdemu nauczycielowi marzy się taka szkoła, która by nie tylko przekazywała w sposób umiejętny niezbędne informacje, ale i na odpowiednim poziomie formułowała przyszłe pokolenia. Ten odwieczny problem roztrząsano już w szkołach greckich i rzymskich. Zastanawiali się nad nim benedyktyni i dominikanie, jezuiti i salezjanie, szereg uniwersytetów i akademii. Nadal nie milkną burzliwe dyskusje nad modelem polskiej oświaty, która w znacznym stopniu może przesądzić o przyszłym biegu życia.

W epoce oświeconego absolutyzmu, za panowania króla Ludwika XIV, pojawił się we Francji człowiek dużego formatu, reformator oświaty, wytrawny pedagog i założyciel braci szkolnych — JAN DE LA SALLE (1651—1719). W wyznaczonym przez siebie dziele, które miało uzdrowić ówczesną oświatę oraz zmienić dotychczasowy jej sposób myślenia, dążył do stworzenia takiego modelu szkoły, który by odpowiadał aktualnym zapotrzebowaniom ducha czasu. Spróbujmy się przyjrzeć pedagogice lasaliańskiej (przymiotnik ten pochodzi od nazwiska jej założyciela), która nie tylko zdobyła duże uznanie światowe, ale okazała się dla wielu pokoleń lekarstwem na jej przetrwanie.

Trzeba od zaraz zaznaczyć, że założenia tej pedagogiki opierały się na wychowaniu chrześcijańskim i zgodnie z panującymi wówczas warunkami społecznymi obejmowały warstwy najbardziej dotknięte ekonomicznie. Obok praktycznych wskazówek zostaje przez niego jasno określony status nauczyciela i status ucznia, które aczkolwiek miały ze sobą ściśle współpracować, to jednak każdy z nich posiadał inny wymiar. **PRIMUM — STATUS NAUCZYCIELA** oparty na potrójnej misji związanej z nauką Mistrza z ewangelii zawierał się na drodze, prawdzie i życiu, która oznaczała nic innego, jak posłannictwo. Taka definicja brzmi bardziej uroczyście i kojarzy się z całkowitym posłannictwem. Każdy nauczyciel

WOJCIECH MIERZEJEWSKI II NAGRODA

PEDAGOGIKA LASALIAŃSKA

— jego zdaniem — miał swoim życiem głosić taką kerygmę i być zwierzchnikiem, sędzią, egzekutorem, osobą spotkania i dialogu, nade wszystko fachowcem w dziedzinie, w której nie ma fachowców. Posłannictwo miało dotyczyć integralnego wychowania człowieka i zarazem obejmować ciało, intelekt, sferę emocjonalną, wartości moralne, społeczne i religijne. Na przykład pod pojęciem intelekt rozumiał on „ustawiczne poszukiwanie prawdy”, „stosowanie reguł logiki”, a przez „wartości społeczne” właściwy sposób patrzenia i zachowania się w towarzystwie (tzw. sfera obyczajowa). Ponadto wymagana była znajomość psychologii, prowadzenia przez nauczyciela arkusza obserwacji ucznia w klasie oraz osobowe, a nie numeryczne traktowanie nauczanych. Współpracę rodziców z pedagogami uważał niemal za rzecz świętą.

SECUNDUM — STATUS UCZNIA z kolei jest bardziej przejściowy, albowiem musi on pokonać długą i trudną barierę związaną z weryfikowaniem swojego powołania, czyli z wyborem przyszłej drogi życiowej, niezależnie od tego jakie posiada uzdolnienia. Surowa dyscyplina uczniowska eliminowała z życia szkoły kłątwy,

okrzyki, bójki, grę na instrumentach muzycznych, natomiast podkreślała dobre maniere, grzeczne odnoszenie się do starszych kolegów, szacunek dla króla i władzy. Najważniejszą sprawą w życiu ucznia było zdobycie mądrości poprzez naukę, pozwalającą nabywać wszelkie cnoty oraz dążyć do świętości, która w tym czasie była uważana za bardzo ważną sprawę. Solidne wywiązywanie się ze swoich obowiązków mogło niejednego ucznia zaprowadzić na szczyty sławy.

Ze względu na pogarszającą się sytuację ekonomiczną kraju, jak i ogólną zmianą w myśleniu, zostały wprowadzone innowacje przez de La Salle. Bezpłatność za naukę, zastąpienie łączny językiem ojczystym, wyeliminowanie kar cielesnych na korzyść wychowania moralnego i poszanowania godności osoby ludzkiej. Powołano do istnienia szkoły handlową i przemysłową, ogrodniczą i rolniczą, co ważniejsze po raz pierwszy otwiera szkołę dla młodych przestępców. Program dostosowuje do potrzeb aktualnych szkół. Są to jedynie nieliczne zmiany, które wówczas wywołały prawdziwą rewolucję w szkolnictwie francuskim. Gdyby nie poparcie tych reform ze strony kardynała paryskiego, L.

A. de Noaillesa, wszystko mogłoby się zawalić. Tymczasem szybko przyjął się ten system oświatowy w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Turcji, Egipcie, Indochinach, Meksyku, Rumunii czy na Cejlonie. Po dziś dzień Francja posiada największą liczbę pedagogów lasaliańskich.

Za istotny czynnik w edukacji uważał de La Salle pogodzenie rozumu z wiarą, ponieważ nie idą one często w parze: »R o z u m — twierdził — tak ceniony przez Kartezjusza, dyktuje, że powinien przeznaczyć dochody kanonika i swój majątek rodzinny na potrzeby oświaty, na utrzymanie nauczycieli. Natomiast głos wiary, uświadomiony po dramatycznej reakcji braci na jego kazanie o „liliach polnych”, każe mu upodobić się do ubogich, iść drogą paschalną, drogą do ziemi obiecanej...«

Co charakterystycznego uderza nas w tej niezwykle pedagogii? Otóż tamtejsza edukacja, podobnie jak i dzisiejsza, przeżywała swój wewnętrzny kryzys, który dotyczył zarówno uczniów, jak i nauczycieli. Stąd zostali oni poddani gruntownej formacji. Dzieło jego otwiera nową kartę w szkolnictwie, a wielki heroizm przyswiecający niemal w każdej inwencji, dodawać nam może ochoty do pracy. Duży nacisk położony na wychowanie humanistyczne i religijne. To miało swój a u t e n t y c z n y wymiar pedagogiczny. Długo przyjdzie nam wszystkim czekać na tak wybitnego pedagoga, który niemal całe życie poświęcił dla szkoły i dla którego ona stanowiła najwyższy ideał. Szkoda tylko, że w naszych kręgach spotykamy tak niewielu zapaleńców. Nic dziwnego, że uznano go za patrona nauczycieli.



Podnieś rękę Boże Dziecię
 Błogosław ojczyznę miłą
 W dobrych radach, w dobrym bycie
 Wspieraj jej siłę Swą siłą



Niech słowa tej starej,
 polskiej kolędy
 towarzyszą serdecznym
 życzeniom,
 które z okazji
 Świąt Bożego Narodzenia
 i Nowego Roku
 składa



Powszechna Kasa Oszczędności

RYS. STOK

YARDLEY TO MICHALIK,
 DENIM TO RAFAL,
 OLD SPICE - PIECZARA
 A IMPULSE TO
 MARYŚKA...



DLA KAŻDEGO



**W potrzebie - skorzystaj
 z oferty kredytowej PKO!**

Kredyt gotówkowy na dowolny cel

- wysokość uzależniona od zabezpieczenia oraz oceny wypłacalności klienta i żyrantów,
- spłata - do 2 lat.

Kredyt na zakup wózków i samochodów inwalidzkich (przydzielonych przez odpowiednie organy administracji)

- na preferencyjnych warunkach - spłata do 3 lat.

Pożyczki lombardowe

- wypłata "od ręki" po zawarciu umowy,
- spłata - od 7 dni do 3 miesięcy.

Kredyt bezgotówkowy na zakup akcji prywatyzowanych przedsiębiorstw

- dla osób fizycznych i podmiotów gospodarczych,
- spłata - do 4 lat z możliwością 12 miesięcznej karencji.

Oprocentowanie kredytów jest zmienne, zależne
 - jak we wszystkich polskich bankach -
 od sytuacji finansowej kraju
 i podstawowej stopy procentowej NBP.

Informacje o szczegółowych warunkach uzyskania kredytu -
 w oddziałach i ekspozyturach PKO w całym kraju.

DAROWIZNY A PODATEK DOCHODOWY

W tym roku przekazałem 3 miliony zł na fundusz budowanego w w mojej miejscowości ośrodka zdrowia. Czy tę kwotę będzie można odliczyć od płaconego przeze mnie podatku dochodowego? Czy darowizny na inne cele także wpływają na zmniejszenie podatku? (A. L. — woj. krośnieńskie)

Z listu Czytelnika widać, że niektóre zagadnienia prawa podatkowego mogą wielu osobom sprawiać poważne kłopoty. Darowizny na niektóre cele rzeczywiście wpływają na zmniejszenie podatku dochodowego, jednakże nie są one odliczane od płaconego podatku, lecz jedynie od podstawy opodatkowania. Oznacza to, że jeżeli pan A. L. osiągnął w roku 1992 dochód w wysokości np. 50 mln zł, to płacony przez niego podatek dochodowy będzie naliczony od kwoty 47 mln zł (50 mln zł — 3 mln zł).

Zgodnie z art. 26 ust. 1 pkt. 1 ustawy z 26 lipca 1991 r. o podatku dochodowym od osób fizycznych (Dz. U. nr 80, poz. 350, z póź. zm.) od dochodu można odliczyć przed opodatkowaniem kwoty darowizn na następujące cele:

- naukowe,
- naukowo-techniczne,
- oświatowe,
- oświatowo-wychowawcze,
- kulturalne,
- kultu religijnego,
- kultury fizycznej i sportu,
- ochrony środowiska,
- wspierania inicjatyw społecznych w zakresie budowy dróg i sieci telekomunikacyjnych na wsi oraz zaopatrzenia wsi w wodę,
- dobroczynne,
- ochrony zdrowia i pomocy społecznej,
- rehabilitacji zawodowej i społecznej inwalidów;

— związane z budownictwem mieszkaniowym dla samorządu terytorialnego,

— budowy strażnic przeciwpożarowych, ich wyposażenia i utrzymania.

Odliczenia z tytułu darowizn na wyżej wymienione cele uwzględnia się do wysokości nie przekraczającej 10 proc. dochodu. Jeżeli roczny dochód pana A. L. wyniósłby 25 mln zł, to od tej sumy należałoby odjąć przed opodatkowaniem 2,5 mln zł, a nie 3 mln. Natomiast w sytuacji, gdy jego dochód byłby nie mniejszy od 30 mln zł, to odliczałoby się rzeczywistą wartość darowizny czyli 3 mln zł.

Odliczeniu od podstawy opodatkowania nie podlegają darowizny na rzecz osób fizycznych i prawnych oraz jednostek organizacyjnych nie mających osobowości prawnej, które realizują cele wymienione w ustawie w wykonywaniu działalności gospodarczej, a także na rzecz

osób fizycznych, dla których darowizny te stanowiąby ich osobisty przychód.

URLOP SZKOLENIOWY

Studiuję zaocznie na podstawie skierowania uzyskanego od władz oświatowych. Obecnie jestem na ostatnim, piątym roku studiów. Czy przysługują mi dodatkowe dni wolne na pisanie pracy magisterskiej? Czy do urlopu szkoleniowego wliczane są także soboty i niedziele? (B. M. — woj. ciechanowski)

Zarządzenie ministra edukacji narodowej z 28 lipca 1989 r. w sprawie zasad udzielania nauczycielom urlopów na kształcenie się (M. P. nr 27, poz. 215) przewiduje, iż nauczycielom odbywającym studia zaoczne w szkołach wyższych przysługują płatne urlopy szkoleniowe w każdym roku studiów, przeznaczone na udział w obowiązkowych zajęciach oraz przygotowanie się i przystąpienie do egzaminów w wymiarze 28 dni roboczych.

Na ostatnim roku studiów, niezależnie od wymienionego wyżej urlopu szkoleniowego, przysługuje dodatkowo 21 dni roboczych płatnego roku studiów, przeznaczonych na udział w obowiązkowych zajęciach oraz przygotowanie się i przystąpienie do egzaminu magisterskiego.

Za dni robocze uważa się wszystkie dni z wyjątkiem niedziel i świąt określonych w odrębnych przepisach. Są więc nimi soboty i inne dodatkowe dni wolne od pracy. Jeżeli przypadają one w czasie urlopu szkoleniowego, to wlicza się do tego urlopu. Jednakże urlop szkoleniowy nie może rozpoczynać się ani kończyć w dniu dla nauczyciela wolnym od pracy.

ODPRAWA DLA PRACOWNIKÓW ZWALNIANYCH Z PRACY

Jestem dyrektorem szkoły. W związku z kłopotami finansowymi kierowanej przeze mnie placówki zmuszony jestem wypowiedzieć umowę o pracę trzem pracownikom obsługi i administracji. Czy należy wypłacić im odprawę? Moim zdaniem chyba nie, gdyż nie było to zwolnienie grupowe. Poza tym jedna z tych osób ma już zagwarantowaną pracę w innym zakładzie. (W. K. — woj. kieleckie)

Ustawa z 28 grudnia 1989 r. o szczególnych zasadach rozwiązywania z pracownikami stosunku pracy z przyczyn dotyczących zakładu pracy (Dz. U. nr 4 z 1990 r., poz. 19, z póź. zm.) odnosi się nie tylko do pracowników zwalnianych w ramach tzw. zwolnień grupowych. Ma ona także zastosowanie w razie podejmowania przez kierownika zakładu pracy indywidualnych decyzji o zwalnianiu pracowników z przyczyn ekonomicznych lub w związku ze zmianami organizacyjnymi, produkcyjnymi albo techno-

logicznymi, o ile przyczyny te stanowią wyłączny powód uzasadniający rozwiązanie stosunku pracy.

Pracownikowi, z którym został rozwiązany stosunek pracy z przyczyn dotyczących zakładu pracy przysługuje odprawa w wysokości:

1) jednomiesięcznego wynagrodzenia, jeżeli pracownik przepracował łącznie mniej niż 10 lat,

2) dwumiesięcznego wynagrodzenia, jeżeli pracownik przepracował łącznie 10 lat, lecz mniej niż 20 lat,

3) trzymiesięcznego wynagrodzenia, jeżeli pracownik przepracował łącznie 20 lat i więcej.

Wysokość odprawy pieniężnej ustala się według zasad obowiązujących przy obliczaniu ekwiwalentu pieniężnego za urlop wypoczynkowy.

Odprawa pieniężna nie przysługuje jednak pracownikowi:

1) który do dnia rozwiązania stosunku pracy przyjął propozycję zatrudnienia w zakładzie pracy przejmującym w całości lub w części mienie dotychczas zatrudniającego go zakładu albo w zakładzie pracy powstałym w wyniku takiego przejęcia;

2) który po rozwiązaniu stosunku pracy rozpoczyna działalność gospodarczą na własny rachunek lub w ramach spółki albo spółdzielni w związku z przejściem określonych składników mienia ruchomego lub nieruchomości zakładu pracy i dotyczy to także pracownika, który w chwili rozwiązania stosunku pracy jest wspólnikiem w spółce lub członkiem spółdzielni dokonującej takiego przejęcia;

3) zatrudnionemu w niepełnym wymiarze czasu pracy i otrzymującemu emeryturę lub rentę, albo zatrudnionemu w innym zakładzie pracy w pełnym wymiarze czasu pracy lub w kilku zakładach pracy łącznie w pełnym wymiarze czasu pracy;

4) prowadzącemu działalność gospodarczą na własny rachunek;

5) prowadzącemu gospodarstwo rolne o po-

wierzchni użytków rolnych powyżej 5 ha przeliczeniowych albo gospodarstwo stanowiące dział specjalny produkcji rolnej w rozumieniu przepisów podatkowych, z którego wysokość podatku rolnego przekracza wysokość podatku z 5 ha przeliczeniowych.

W razie zbiegu prawa do odprawy, o której mówi ustawa z 28 grudnia 1989 r., i jednorazowej odprawy pieniężnej w związku z przejściem na emeryturę lub rentę inwalidzką — pracownikowi przysługuje jedna, korzystniejsza dla niego odprawa.

Dopiero uwzględnienie wszystkich czynników, o których wspominałem i odniesienie ich do konkretnego stanu faktycznego umożliwi udzielenie odpowiedzi na pytanie z listu. Nie wolno jednak z góry zakładać, że pracownicy zwalniani w wyniku decyzji indywidualnych nie mają prawa do odprawy. W większości bowiem przypadków w razie rozwiązania stosunku pracy z przyczyn dotyczących zakładu pracy, świadczenie to będzie pracownikom przysługiwało. Przy nabywaniu prawa do odprawy nie ma znaczenia również fakt, że pracownik bezpośrednio po rozwiązaniu umowy o pracę podjął nowe zatrudnienie.

Omówione przeze mnie unormowania nie odnoszą się do nauczycieli, gdyż ich uprawnienia w tym zakresie są regulowane przez art. 20 Karty Nauczyciela. Przepis ten głosi, że w razie całkowitej lub częściowej likwidacji szkoły, a także w razie zmian organizacyjnych powodujących zmniejszenie liczby oddziałów w szkole, zmian planu nauczania bądź zwiększenia obowiązkowego wymiaru zajęć uniemożliwiających dalsze zatrudnienie nauczyciela w pełnym wymiarze zajęć, dyrektor szkoły może rozwiązać z nauczycielem stosunek pracy lub na wniosek nauczyciela przenieść go w stan nieczynny. Nauczycielowi, z którym rozwiązano stosunek pracy z przyczyn wymienionych w art. 20 Karty, przysługuje odprawa w wysokości sześciomiesięcznego wynagrodzenia zasadniczego.

DRODZY CZYTELNICY

CZYTELNICY

PYTAJĄ

„GŁOS NAUCZYCIELSKI”

NR 52/92

ODPOWIADA

Nasz tygodnik — jako jeden z nielicznych w kraju — udziela od lat bezpłatnych porad prawnych: telefonicznie, listownie, a także na miejscu w redakcji. Z całą satysfakcją będziemy nadal pomagać w trudnych sytuacjach życiowych tym wszystkim, którzy się do nas o to zwrócą, także korespondencyjnie. Pod jednym wszak warunkiem. Do każdej korespondencji z prośbą o udzielenie pisemnej odpowiedzi należy dołączyć oryginalny kupon zamieszczony obok na tej kolumnie.



Poniedziałek 28 XII

14.40 Wszystko jest możliwe (1). Leo Dickinson, operator realizujący dokumentalne filmy przygodowe, opowiada o swoich doświadczeniach przy kręceniu scen w niezwykłych miejscach. Pokazuje kajakarza płynącego po górskim strumieniu, zdjęcia podwodne, podczas opadania spadochronu bądź wspinaczki po zamrożonym wodospadzie. Film produkcji angielskiej.

15.05 Świat smithsoniański: Ostatni kwiat. Tematem filmu USA, składającego się z trzech felietonów, jest ginący świat: sztuki (konserwacja fresków Leonarda da Vinci), zwyczajów plemiennych (znachorzy afrykańscy i ich praktyki), przyrody (ochrona ginących gatunków zwierząt) oraz architektury (ostatnie zabytkowe rezydencje amerykańskich bogaczy)

Wtorek 29 XII

14.10 Wszystko jest możliwe (2). Drugi odcinek filmu angielskiego Leo Dickinsona. Między innymi filmowanie grupowych akrobacji samolotów myśliwskich, wspinaczki górskiej, jaskiń podwodnych i zbiorowych skoków spadochronowych z udziałem 125 osób (rekord świata)

14.35 Kuchnia. Kaloryfer. Jaki ma kształt

i dlaczego? Dlaczego jest zrobiony z metalu? Dlaczego woda wrze? Jak rozchodzi się ciepło w mieszkaniu itp.

14.30 Świat smithsoniański: Tam, gdzie nikt przedtem nie był. Magazyn trzyczęściowy — podróż dookoła świata eksperymentalnym samolotem o wadze szybowca i rozpiętości skrzydeł samolotu pasażerskiego; budowa teleskopu Hobblla; badanie jaskiń podwodnych przez nauczycielkę, która odkryła nieznane gatunki skorupiaków

15.45 Nie tylko dinozaury. Autor — E. Urbańska

Środa 30 XII

13.30 Wszystko jest możliwe (3). Ostatni odcinek opowieści operatora Leo Dickinsona. W niezwykłych sytuacjach. Między innymi rekonstrukcja wypadku podczas wspinaczki górskiej, filmowanie jednoczesnego opadania na spadochronach w formie skrzydła 25 skoczków, zdjęcia podwodne

13.55 Opowieść o naszym wieku 1900-2000, cz. 2 z cyklu: Najważniejsze wydarzenia XX w. Zburzenie muru berlińskiego i upadek komunizmu w krajach byłego obozu socjalistycznego. Film francuski

14.35 Stracone złudzenia, czyli dylematy klasyka. Widowisko poświęcone postaci Kajetana Koźmiana (1771-1856). Poeta Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, duchowy przywódca klasyków, autorytet literacki, wysoki urzędnik państwowy. Romantycy oceniali go jako wsteczniaka, renegata, ugodowca, miernego poe. Czy ich sąd nie jest zbyt krzywdzący i jednostronny? Autorka — M. Nockowska

15.05 Serial: Sztuka świata zachodniego,

odc. 5. Złoty wiek Florencji. Renesans. Wiek XV

15.30 Pegaz młodych. Schyłek wieku XX. Dokąd zmierza świat? Charakterystyka współczesnego stylu życia. Autorka — A. Kobylińska

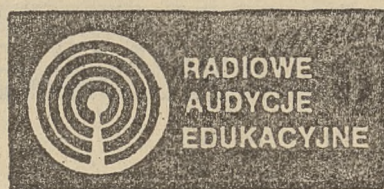
Czwartek 31 XII

13.30 Sprawy ludzkie. Mądrość. Kolejny odcinek serialu opartego na esejach prof. Jana Szczepańskiego z tomu pt. Sprawy ludzkie. Film próbuje definiować mądrość jako umiejętność rozprawiania się z człowiekiem z czasem, cierpieniem i losem. W tych rozważaniach jest też wątek poświęcony głupocie, która może doskonale iść w parze z wielką wiedzą, czy wielkimi osiągnięciami techniki. Autorzy — W. Iwański, A. Mościcki

14.10 Zwierzęta świata. Na ścieżkach życia (6). Sztuka budowania. Jaskółki w dążeniu do redukcji kosztów remontują zbudowane gniazda. Aspołeczne kormorany kradną materiały budowlane najbliższym sąsiadom, zaś krab-pustelnik poczyna sobie bardzo agresywnie na podwodnym rynku mieszkaniowym. Po mistrzowsku zaprojektowane, komfortowe mieszkania niektórych stworzeń zadziwiają nowoczesnością swego wyposażenia — klimatyzacją czy ogrzewaniem słonecznym. Film produkcji angielskiej

15.00 Wędrowki helleńskie. Film o starożytnej estetyce, religiach i formach ustroju państwowego na tle ruin Olimpii, Delf, Aten, Koryntu i Delos. Autor — P. Parandowski

15.20 Zielone komnaty. Wieś. Film ekologiczny. Zniszczenie pięknej niegdyś wsi polskiej tonącej i wtopionej w zieleń. Autor — St. Szwarz-Bronikowski



CISZA W ETERZE?

Pytają nas coraz częściej Czytelnicy, dlaczego zaprzestaliśmy drukować radiowe programy edukacyjne dla uczniów szkół podstawowych i średnich. Ostatnio z takim wyrzutem zatelefonowała do nas pani Barbara Brzózko ze Szkoły Podstawowej w Halinowie. Korzysta obecnie z programów publikowanych w prasie codziennej i tygodniku Antena. Pilnie śledzi je i usiłuje wykorzystywać w pracy pedagogicznej. Niestety do tych zamieszczanych w prasie nie ma zbyt wielkiego zaufania, gdyż kilkakrotnie nabrała się. Audycje są nadawane nie w tych godzinach i w tych dniach, jak piszą! Nigdy nie ma pewności, gdzie je łapać, w programie II, III czy IV.

Otóż tu leży pies pogrzebany. Zaprzyjaźniona radiowa redakcja dla dzieci czasowo przestała doręczać nam tygodniowych programów edukacyjnych, gdyż nie była w stanie zapewnić wiarygodnych informacji z odpowiednim wyprzedzeniem. My jesteśmy tygodnikiem i obowiązują nas określone rygory drukarniane i nie jesteśmy w stanie nanosić poprawek w programie z dnia na dzień. Przepraszamy Czytelników za chwilową przerwę w publikowaniu programów edukacyjnych i obiecujemy, że jak tylko skończy się reorganizacja w radiu, ponownie będziemy zamieszczać programy. Taką obietnicę uzyskaliśmy także w redakcji dla dzieci Polskiego Radia.

(Z)

NA OBCZYŹNIE

Ludziemy się, że dziś już nie istnieje granica między naszym piśmiennictwem krajowym i emigracyjnym. Tyle w tym prawdy, że od dawna zawitaly do nas dzieła twórców miary Miłosza, Gombrowicza i nieco później Grudzińskiego. Każdego pisarza wolno też w kraju drukować, gościć. Zdarza się czasem, że nie wiemy czy ktoś jest jeszcze emigrantem, czy już wrócił na stałe (np. Odojewski). Tym niemniej dotkliwa luka w świadomości czytelniczki pozostanie. Z opóźnieniem przeczytaliśmy Wata, Czapskiego, Swianiewicza, a po tomy Wierzyńskiego, czy emigracyjne wiersze Lechonia należało już wtedy sięgać, kiedy powstawały, więc przed dziesiątkami lat.

Sporo można teraz nadrobić, doczytać, jednak odzyskiwanie literatury emigracyjnej odbywa się z trudem i komplikacjami. Wciąż zresztą oczekujemy bliższych z nią powiązań, choćby przez egzemplarze „Kultury” czy „Zeszytów Literackich”. Istotnym brakiem wydaje się nieobecność wielu nazwisk pisarzy emigracyjnych w poważnych słownikach i encyklopediach. Porównywałem ilościowo część haseł ostatnio wydanego słownika pisarzy na uchodźstwie z niezastąpionym w codziennej pracy przewodnikiem encyklopedycznym „Literatura polska”. Cóż się okazało? Na bez mała trzydzieści haseł na literę „B”, zamieszczonych w tym słowniku, tylko pięć można było odszukać we wspomnianej „Literaturze polskiej”. Znacznie gorsza była proporcja haseł na literę „K”.

To nie jest naiwny zarzut stawiany obszernej, naukowej publikacji, która prezentuje piśmiennictwo polskie od jego zarania po dzień dzisiejszy. Także chyba i ze względów cenzuralnych nie mogli autorzy dwutomowego przewodnika poświęcić piśmiennictwu emigracyjnemu tyle uwagi, na ile ono zasługuje. Niemniej wciąż gdzie indziej szukamy informacji o pisarzach z kraju i tych ze środowisk uchodźstwa polskiego.

Gdzie indziej — to znaczy gdzie? Wysoko ceniony popularny „Leksykon polskiej literatury emigracyjnej” Jana

Zielińskiego (drugie wydanie — rok 1990). Autor poświęcił go pisarzom jacy opuszczali Polskę w różnych okresach historii, od roku 1939 po czasy stanu wojennego. Jest tu więc np. Zagajewski i Miłosz, Hłasko, Tyrmand oraz Kazimierz Brandys. Wśród stu dziewięciu haseł odnajdziemy szereg informacji o autorach, którzy milkli i znikali, aby przypomnieć się gdzieś na katedrach w Sorbonie, Columbia University, w wytwórniach filmowych albo bezimiennie wtopić się w losy emigracji. Słownik Jana Zielińskiego dochowuje wierności rygorom biografii i bibliografii, ale ze zrozumieniem i sympatią zamieszcza wzmianki o perypetiach życiowych pisarzy, nie pomijając czasem i takiego szczegółu, że ktoś tam cierpiał na jaskrę. W sumie jest to bardzo pożyteczna treść, a łatwa i miła w czytaniu kolekcja portretowych miniatur, dobrze pomyślane kompendium oraz zajmujący opis dzieł literackich.

Ostatnio ukazała się praca, która przemawia zupełnie innym językiem. Jest to „Mały słownik pisarzy polskich na obczyźnie 1939—1980”, wydany przez Instytut Badań Polonijnych Uniwersytetu Jagiellońskiego. Rzecz ukazała się w 1992 roku nakładem „Interpressu” w Warszawie. Autorami publikacji są: Bolesław Klimaszewski, Ewa R. Nowakowska, Wojciech Wyskiel, Andrzej Spyt i Krzysztof Woźniakowski. Redakcję całości objął Bolesław Klimaszewski.

Praca nad słownikiem trwała, jak się dowiadujemy ze wstępu, niespełna dziesięć lat. Autorzy korzystali z pomocy Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie i Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce, także Biblioteki Polskiej w Londynie oraz Fundacji Kościuszkowskiej w USA. Z kwerendami zwracano się poza tym do mnóstwa instytucji, archiwów, bibliotek oraz osób prywatnych w kraju i za granicą. W rezultacie zebrano dotąd dane o 1456 pisarzach. W „Małym słowniku” zamieszczono tylko 468 haseł, ale Bolesław Klimaszewski zapowiada ukazanie się w przyszłości pełnej jego wersji. Obecne wydanie mimo skromnego tytułu liczy 500 stron

i zawiera w każdym haśle fakty z życia oraz szczegółową bibliografię publikacji pisarza. Opisano autorów polskich mieszkających w krajach Europy Zachodniej, w obu Amerykach, na Bliskim Wschodzie, w Afryce, Australii i Oceanii. Oddzielnie opracowano 53 hasła dotyczące pisarzy ze Śląska Cieszyńskiego, z Litwy, Białorusi, Ukrainy i Rosji.

W pierwszej części publikacji poświęconej hasłom osobowym uwzględniono pisarzy sławnych i mniej znanych, także tych, którzy publikowali bardzo mało. Poza twórcami literatury pięknej są tu emigracyjni historycy, krytycy, tłumacze, a nawet niektórzy działacze polityczni i wybitni wojskowi. Jest więc Stonimski i Anders, Sławoj-Składkowski i Herling-Grudziński, Jasnorzeńska-Pawlikowska i Edward Raczyński.

Zgodnie z zapowiedzią unikano we wszystkich hasłach ocen wartości artystycznych czyjegoś dorobku i postaw ideologicznych pisarzy. Niestety pominięto też ogólną charakterystykę ich utworów. Krótka informacja po nazwisku nie jest, oczywiście, bez znaczenia. Dowiadujemy się na przykład, że generał Sosabowski napisał wspomnienia i gdzie zostały wydane. To wystarcza. Chciałoby się jednak wiedzieć coś więcej o twórczości autorów, zwłaszcza zupełnie nieznanych. Franciszek Lachocki, poeta, żył w tych i tych latach, wydał w Londynie pięć zbiorów poetyckich. Poznajemy ich tytuły i czas wydania — nic poza tym. Czytelnik oczekiwałby informacji dotyczących tematyki i, najogólniej mówiąc, stylu prezentowanych w słowniku utworów.

Dobór haseł może budzić zastrzeżenia w tym i w każdym innym słowniku. Trafność takiego doboru mogą oceniać w zasadzie tylko znawcy przedmiotu. Jednak w przypadku „Małego słownika” pominięto kilka nazwisk bardzo ważnych i to stwierdzić może każdy, kto tę książkę starannie przewertował. Brakuje na przykład Kazimierza Brandysa, który od roku 1970 wykładał na Sorbonie literaturę słowiańską i na emigracji wydał swoje niezapomniane „Miesiące”. Nie ma znanego poety Stanisława Barańczaka, wykładowcy na Uniwersytecie Harvarda, tłumacza dramatów Szekspira. Przeoczono (?) Wojciecha Karpińskiego, eseistę i historyka kultury, współzałożyciela „Zeszytów Literackich”. Nie ma też Jerzego Giedroycia...

Można zadać pytanie, czym byłaby bez niego literatura polska na obczyźnie. Obliczono, że w ciągu 40-lecia z redagowaną przez Giedroycia „Kulturę” współpracowało około 2400 osób piszących. Instytut Literacki, którego dyrektorem od 1946 roku jest Giedroyc, wydał m. in. utwory wszystkich ważniejszych prozaików emigracyjnych, jomiki poetów, pisma ze-

brane Gombrowicza i Miłosza. Sam Jerzy Giedroyc, jak czytamy w dedykowanym mu „Leksykonie polskiej literatury emigracyjnej”, pisze niewiele, „a jeszcze mniej podpisuje swoim nazwiskiem”. Działa jako kapelmistrz wielkiej orkiestry. Może swego czasu skupiała ona połowę wszystkich po polsku brzmiących instrumentów? Doniosłe dla emigracyjnego życia nazwisko pominięto z jakichś względów merytorycznych, bo przecież nie przez nieuwagę czy złośliwość. Może właśnie dlatego, że mało pisał czuwając nad twórczością innych? W każdym razie w słowniku jest Wanda Wasilewska, a nie ma Giedroycia, przy czym autorów omawianej publikacji trudno pościć o ... sympatie dla komunizmu.

Druga część „Małego słownika” zawiera obszerną dokumentację wydawanych na obczyźnie antologii tekstów pisarzy polskich tworzących w latach 1940—1980. Wykaz ten

sprządzili Bolesław Klimaszewski i Barbara Michalik-Russek. Wśród wielu innych znajdziemy tam notatkę bibliograficzną poświęconą drukowanym w konspiracyjnej prasie warszawskiej wierszom poetów-emigrantów, wymieniona jest też szwedzka antologia z roku 1942 — „Det kända Polen”. Zawiera ona przekłady z Wańkowicza, Broniewskiego, Wierzyńskiego i Kuncewiczowej. Dowiemy się o „Wielkanocnej pisance” z Tajnej Lwowskiej Drukarni Wojskowej (1942) i o młodzieżowym „Magazynie rzeczy ciekawych”, wydawanym w Tel Awiwie w rok później. Ucieszą nas Tadeusz Nowakowski w Amsterdamie no i Hłakowiczówna ze Stonimskim w Bombaju.

„Mały słownik pisarzy polskich na obczyźnie” i „Leksykon polskiej literatury emigracyjnej” powinniśmy postawić na jednej półce i korzystać z nich jednocześnie. Bardzo się od siebie różnią, ale wzajemnie uzupełniają.

Rys. STOK



DZIS W STAROŻYTNYM RZYMIE

JAN TRYNKOWSKI

...I PO ŚWIĘTACH

DZIS 27 grudnia (Rzymianie mówili: 6 dni przed kalendami stycznia), w starożytnym Rzymie panował, podobnie jak dzisiaj u nas, nastrój poświęteczny. W Rzymie jednak były to inne święta. Saturnalia, a o nich będzie mowa, to bardzo stare święto, ku czci Saturna — bardzo starego italskiego bóstwa rolniczego, przedstawianego z sierpem w ręku. Początkowo było to święto skromne w swych rozmiarach i niezbyt bogate w treści, związane wyłącznie z zakończeniem roku prac rolniczych. Z biegiem jednak czasu, pod wpływem religii greckiej i reform jakie przeprowadzono w 217 r. p.n.e. po klęskach w wojnie z Hannibalem, święto to zmieniło swój charakter, nabrało nowych znaczeń i ogromnie się rozbudowało zarówno pod względem obrzędów, jak i co do czasu trwania. Saturnalia zaczynały się 17 grudnia i trwały początkowo jeden dzień, później trzy, od panowania Kaliguli cztery, od Domicjana pięć, a potem nawet siedem dni. Możemy mówić o trzech aspektach, trzech elementach składowych tego święta. Było to oczywiście, zgodnie z najstarszą tradycją

święto rolnicze związane z zakończeniem prac w polu, sadzie i ogrodzie, gdy wszystkie plony były już zebrane i zwiezione, a rolnik mógł spokojnie cieszyć się ich obfitością. Było to też święto zimowego przesilenia, okres gdy dzień był już bardzo krótki, słońce coraz słabiej świeciło i trzeba było jego słabnącym siłom przyjść z pomocą, wzmocnić jego działanie, uciekając się do różnorodnych zabiegów o charakterze magicznym. Stąd właśnie płynnie obyczaj darowania w tym okresie krewnym, bliskim i przyjaciółom, woskowych świeczek (cereli), których płomień symbolicznie miał wspomagać słabnące siły słońca. W czasie Saturnaliów ofiarowywano też sobie wzajemnie gliniane figurki ludzkie (sigilla), lalki. Oczywiście w okresie tym w Rzymie odbywały się całe targi, na których sprzedawano owe gliniane cudeńka (sigillarium celebritas). Być może figurki te są symbolicznym reliktem, bardzo starych i szczęśliwie zapomnianych ofiar z ludzi, jakie składano Saturnowi, by tą ofiarą z życia ludzkiego pozyskać kolejny rok życia dla siebie. Wśród prezentów jakie sobie składano a związanych z rolniczym

charakterem święta, były też orzechy — prawnym symbol płodności, dziś na choinkach w naszych domach płoną świeczki, wiszą orzechy, a pod drzewkiem wśród innych prezentów, poczesne miejsce zajmują lalki. Istniał też i trzeci bardzo ważny element tego święta. Wierzono, że te odległe czasy, kiedy i w Italii, i w Rzymie niepodzielnie panował Saturn, to był złoty wiek — gdy wszystkiego było pod dostatkiem, panowała cnota i prawo, a wszyscy ludzie byli sobie równi. Owa wiara w wiek Saturna, zbieżna jest z powszechną dla innych kultur i czasów tęsknotą za „rajem utraconym” i „starymi dobrymi czasami”, owym częstym choć raczej nieuzasadnionym przekonaniem, że „dawniej było lepiej”. Tu może nieco odchodzić od tematu, warto zauważyć, że powszechne i dawniej, i dziś narzekania na „dzisiejszą młodzież” mają dokładnie to samo źródło, no bo skoro dawniej wszystko było lepsze, to i młodzież musiała być inna niż dziś. Tak czy owak, Saturnalia były okresem obfitości, kiedy jedzono i pito do woli, a stoły aż uginały się od rozstawionych na nich potraw. Były świętem, gdy chodzono po mieście w radosnych pochodach, koniecznie we frygijskich czapkach — symbolu wolności, pokrzykując w uniesieniu: „io Saturnalia” — niech żyją Saturnalia! Było to również święto pojednania, braterstwa i równości wszystkich ludzi — dniami gdy niewolnicy siadali do biesiadnego stołu razem ze swymi panami, mieli pełną swobodę mówienia o czym chcieli, a nawet ich własni panowie im usługiwali. Jak wspomniano wyżej to początkowo jednodniowe święto, stopniowo przedłużano — nie zmieniło to jednak faktu, że kiedyś musiało się skończyć i znów panowie stawali się panami, niewolnicy niewolnikami, kończyło się obfite jedzenie i picie — wszystko wracało do codziennej normy. Pozostawała tęs-

knota za utraconym wiekiem Saturna oraz niesmak po przejeździe i przepiciu.

Może ktoś i słusznie zapytać o Święta Bożego Narodzenia, zapytać jak je w Rzymie obchodzono? Gdyby ktoś sięgnął do interesującej książki A. G. Hammana, Życie codzienne pierwszych chrześcijan (W-wa 1990), to dowie się z niej jak pierwsi chrześcijanie świętowali w niedzielę, jak ważnym dla nich świętem była Wielkanoc, nie dowie się natomiast niczego o Bożym Narodzeniu. Książka Hammana obejmuje okres drugiego wieku naszej ery, a pierwsze wzmianki o Bożym Narodzeniu obchodzonym w dniu 25 grudnia pochodzą dopiero z pierwszej połowy IV wieku. Pierwsi chrześcijanie żyli w oczekiwaniu na rychłą paruzję — tryumfalny powrót Chrystusa na sąd ostateczny i z natury rzeczy ważny dla nich był tylko dzień Zmartwychwstania, z całą jego jakże bogatą symboliką. O dniu narodzin Chrystusa myślano niewiele i wiedziano niewiele, nie zastanawiano się nawet nad tym, kiedy to wydarzenie miało miejsce. Musimy pamiętać o tym, że próba ustalenia daty rocznej narodzin Chrystusa podjęta przez Dionizjusza Małego w VI wieku, próba która stała się punktem wyjścia naszej rachuby czasu obaroczona jest błędem. Daty dziennej nie znał nikt. Dzień 25 grudnia został wybrany niejako na drodze aneksji starego pogańskiego święta. Dzień 25 grudnia obchodzony był w Rzymie jako dies natalis Solis — dzień urodzin słońca, bo i rzeczywiście słońce już jakby się ożywia, a dzień staje się coraz dłuższy, tego dnia miał się narodzić irański bóg Mitra, tego też dnia było święto Niezwykłego Słońca (Sol Invictus), którego kult usiłował wprowadzić cesarz Aurelianus w 274 roku jako powszechną religię cesarstwa. Święto Bożego Narodzenia tak ważne w naszej kulturze, ma tradycję stosunkowo późną.